

Prenumerata roczna: 5 zł., 10 mr., 5 rs., 12 lr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi z początkiem każdego miesiąca.

Jeszcze o kuropatwach.

Prawdziwą wdzięczność odczuwam dla szanownego autora rozprawy o „sprowadzaniu żywych kuropatw i zajęcy“ („Łowiec“ 1898, str. 33), napisanej pod świeżem wrażeniem mego artykułu w tej sprawie, („Sylwan“ zeszyt marcowy), bo gdyby więcej podobnych głosów doświadczenia pojawiło się w łamach „Łowca“ od chwili powzięcia zamiaru sprowadzania materyału rozpłodowego z zagranicy, możeby nie przyszła do skutku tak raptem uchwała, polecająca Wydziałowi zająć się pośrednictwem w zakupnie materyałów rozpłodowych, możeby i najgorliwsi zwolennicy tego nader kosztownego, a w skutkach swych wątpliwego kierunku, ochłonęli nieco i skłonili się do podobnych głosów doświadczenia, jakie szanowny autor w swej rozprawie wyraził, nie wykluczając zarazem możliwości pewnego pożytku, pewnych korzyści w praktyce importowej.

Skromność, o którą mnie posądza szanowny autor, jest piękną cnotą, przymiotem coraz bardziej zamierającym, do której chętnie chciałbym się przyznać, zwłaszcza, że w sprawie omawianej byłaby całkiem na miejscu z mej strony. Ale nie skromność była przyczyną, że w sprawie, o której z praktyki nic a nic powiedzieć nie mogę, gdyż nigdy w życiu ani mi na myśl nie przyszło przeprowadzenie prób romnoży kuropatw za pomocą importowanego żywego materyału, nie mając zatem do dyspozycyi własnych doświadczeń, umieściłem w bratnim „Sylwanie“ czysto teoretyczną w tej materyi rozprawkę, która według starego przysłowia nie miała widoków powodzenia w „Łowcu“. Wszak tylko exempla trahunt, a ja ich nie miałem, a jeżeli verba movent, to cel osiągnięty, a żywym tego dowodem artykuł w 3-cim numerze „Łowca“.

Przyznam się, że po doświadczeniach, jakie już ro-

biono u nas z importem żywego materyału, wobec świadomości naszych stosunków łowieckich, a wreszcie, nie będzie to już skromność z mej strony, wobec tak częstego, bo aż do znudzenia powtarzającego się mego głosu o potrzebie „wymiecenia przedewszystkiem z domu śmieci“, zanim pomyśleć będzie można o chowie tak subtelnego zwierzostanu, jakim jest kuropatwa. Uchwała Towarzystwa łowieckiego spadła na mnie jak meteor z jasnego nieba i gdybym był pod pierwszem jej wrażeniem popełnił jakąś pisaninę, to z pewnością nie byłbym przyczynił się tem do rozjaśnienia sprawy, bo byłby to wyskok krwi i nerwów, a nie destylat zimnej rozwagi. Na moje nieszczęście, a może na szczęście kuropatw i zajęcy, nie byłem w stanie zaraz z początku rozjątrzyć sprawy, gorączkowem a własnych, praktycznych podstaw pozbawionem wystąpieniem, bo zamiast kuropatw i zajęcy, myśl w nadpsutej nieco skorupie doczesnej, goniła majaki nieco wspanialszej zwierzyny, znajdowałem się już na krawędzi, skąd niedaleko już do elizejskich rewirów. Ale wreszcie zreperowali należycie skorupę mądrzy doktorowie, pierzchły mgliste maniaki zagrobowych ostępów, gdzie od turów, żubrów, dzików i niedźwiedzi literalnie opędzić się nie można, a wracała powoli naga rzeczywistość, budziła ciekawość sprawa tego naszego kulturnego pierza i turzycy, którą szlachetne usiłowania naszych myśliwych już od dłuższego czasu wentylowały.

Wyraziwszy należytą wdzięczność szan. autorowi rozprawy pomienionej, cieszy mnie niezmiernie, że i on przyznaje racyę prawie wszystkim mym wywodom, dodam tylko z mej strony, że opuszczenie słówka „prawie“ byłoby jeszcze właściwsze, bo faktycznie w całej, cennej rozprawie szanownego autora nie znajduje się nic spornego z tem, co w moim artykule w tej sprawie wypowiedziałem. Wszak i te pośrednie korzyści i wogóle każdy pożytek, jakiby przy imporcie był możebny, przewidziałem, dlatego też znalazł się tam ustęp o znaczeniu tej praktyki, gdzie na nią stosunki pozwolą, a jedynie wyraziłem obawę, aby praktyka importowa nie stała się modłą ogólną, jak na to zdawało się zanosić. Uchwała Towarzystwa, tej najpoważniejszej korporacyi łowieckiej w kraju i pobudzający przykład obywatelskiej towarzyskości, to wcale nie wiatraki, z którymi miałem rozpocząć walkę, według zdania szan. autora, lecz raczej godne uznania zapędy postępu, z którymi nie walczyć, ale je według właściwej miary ocenić należy.

Stanowczo zatem nie mogę przyjąć insynuowanej mi roli hidalga z la Manchy — to tempi passati; w czasach naszych grubego materyalizmu, trudnoby chyba odtworzyć romantyczną karykaturę bohatera genialnego Cerwantesa.

Z uchwał Towarzystwa i z tego wszystkiego, co o sprowadzeniu materyału rozpłodowego mówi się i pisze, nie trudno wyrozumieć, że cała akcya towarzystwa nie jest obowiązkową, w znaczeniu, jak tego wymagają gdzieindziej paragrafy, jednak dobrowolna akcya podjęta przez poważną korporacyę pociąga w swym prądzie i często w takich razach robi się coś dla kompanii, ut aliquid fecisse videatur, a wreszcie robi się, bo jak to szan. autor się wyraża: „robić coś jest zawsze lepiej, niż nic nie robić“. Nie mogę się w tej drobnostce zgodzić ze zdaniem szan. autora, robić coś n i e j e s t z a w s z e lepiej, niż nic nie robić, lepiej jest robić to, na co wskazują już gotowe doświadczenia, a próbować bardzo ostrożnie dróg innych, na których niejeden już doznał przykrego zawodu. Próby takie, a raczej badania krętych i misternych ścieżek natury, muszą być przeprowadzone z całą ścisłością na zupełnie jasnem tle otaczających warunków, w takim bowiem razie jedynie mogą dać stanowczą odpowiedź na zagadnienia praktyki.

Przeciwnie, jeżeli każdy pod dewizą, „że coś robić trzeba“ puści się na kosztowne a śliskie pole prób, to mimo najlepszych zresztą chęci, operując wśród rozmaitych, częstokroć całkiem nierozpoznanych lub zapoznanych czynników, dojdzie, jak to jest rzeczą całkiem naturalną, również i do rozmaitych rezultatów, a to nie przyczyni się wcale do wyjaśnienia rzeczy, przeciwnie sprzeczne rezultaty takiej praktyki zamglą ją na długo, pozostanie u wielu przykra i szkodliwa pamiątka, bo zniechęcenie, zarażające swym jadem innych. Pozostawiając zatem pracę badawczą prywatnej ochocie i ofiarności prawdziwych znawców przedmiotu, trzeba nam iść na wielkim froncie, (gdy już wszelkie ku temu przeszkody usunięte zostały), utartymi a całkiem prostymi środkami do celu, o których już nieco mówiłem w artykule moim w marcowym zeszycie „Sylwana“ i o czem jeszcze będzie można pogadać, gdy sprawa sprowadzania żywych kuropatw z zagranicy, dla przewidywanych przezemnie powodów, doznała jednorocznej zwłoki.

Tyle co do sprawy w ogólności, a teraz muszę jeszcze poruszyć niektóre szczegóły, omawiane w cennym artykule „Łowca“ marcowego.

Zwierzostany kuropatwie, jakie spotykamy w wielu zachodnich krajach, ku czemu i my zdążać zamierzamy, są wytworami starań i pracy kulturnej. Ptak ten mało odporny, pomimo swej prawie bezprzykładnej płodności, nawet wśród najwięcej odpowiednich warunków otoczenia, rozmnaża się bardzo powoli, wreszcie zwierzostan pozostaje na pewnej miernej bardzo stopie, którąby myśliwego na zachodzie wcale zadowolić nie mogła. Tak się dzieje w stanie natury. Dopiero świadoma rzeczy praca kulturna, sztukując najsłabsze ogniwa łańcucha życiowego kuropatwy, z małych nawet danych w naturze, zdolną jest wyprowadzić wielkie dzieło i wśród mniej nawet odpowiednich stosunków naturalnych doprowadzić ten zwierzostan do prawdziwej świetności liczebnej, wobec czego coraz łatwiejszemi stają się dalsze starania. Jest to prawdziwy skutek afektów ludzkich, do jakich prawidłowa natura nie jest wcale zdolną. Jeżeli tylko mamy liczyć na jakieś powodzenie, to zwierzostan kuropatw musi być odrazu wprowadzony w znacznej liczbie, musi niejako imponować swą cyfrą, a ku temu, jak to łatwo zrozumieć, nie może posłużyć import żywego materyału rozpłodowego, ale r a t o w a n i e dla h o d o w l i z n i e s i e ń z i c h n i e p e w n e j s y t u a c y i i p r o d u k c y a p i s k l ą t, w r a z i e p o t r z e b y t a k ż e z j a j o b c e j p r o w e n i e n c y i. Przypuściwszy, że obca kuropatwa np. niemieckiego pochodzenia wypuszczona na wolność na polskiej niwie, hołdując zasadzie, że i dla niej „das Vaterland muss grösser sein“, zwalczyła i nostalgię i *tot discrimina rerum* i wśród czarów naszej wiosny, kędy, jak to szan. autor wspomina, według słów Zagłoby „panuje lubość aury, że wiór za wiórem biega“ pomyślała o założeniu gniazdka. No to cóżby się stało, gdyby tak naturze pozostawiono gnieżdżącą się tę kolonistkę? W większej części wypadków stałoby się coś najgorszego, stałoby się to, co się dzieje z przeważną częścią naszych kuropatw, wskutek czego właśnie ten zwierzostan w żaden sposób podnieść się nie chce, pomimo, że częstokroć myśliwy nawet na imieniny własnej żony żałuje odstrzelić kilka kuropatw, aby nie uszczuplić stada. Że wiór za wiorem biega, to mniejsza z tem, owszem

podnosi to erotykę sytuacyi, ale kiedy bo tam jeszcze rozmaite inne rzeczy biegają, ot biega liszka, za tym smacznym kąskiem, a jest i dla kogo się starać, w niedalekiej norze pełno tam pociech; biegają tchórze, łasice, kuny, koty, psy; w powietrzu zataczają koła jastrzębie, a nawet zgryźliwy chomik, ten uprzykrzony ziarnojad i zresztą wegetarjanin biegając po polu i przydybawszy po drodze siedzącą na jajach kuropatwę, postępuje z nią jak najgorszy drapieżca. Zagryza poprostu matkę, nie tykając zniesień. — A cóż dopiero mówić o tych nieprzeliczonych zastępach wron, gawronów, srok, któremi się u nas przecież nikt nie zajmuje, cóż o tych sojkach, których głównem zadaniem życia zdaje się być w porze wiosennej zjadanie najrozmaitszych jajecznic, cóż o tych tradycją uświęconych bocianach, które z rewizorską pedanteryą przepatrują nasza łany i łąki. — Ot zanuciłem znowu, jak mówi Goethe „ein garstig Lied“, której już u nas wielu słuchać nie chce, a jednak stara ta pieśń, dla nas jeszcze jest nową, jeszcze nie przeszła tak jak należy *in succum et sanguinem* społeczeństwa myśliwskiego, w którem się budzą coraz dalej sięgające zamiary postępu. — Wątpię, aby komuś w takich stosunkach przyszła na myśl hodowla kuropatw wogóle, bo tam żadne sposoby ani środki dotychczas znane do rozmnoży doprowadzić nie mogą, a jednostronna, choćby jak usilna praca, przygotuje tylko obfity stół dla wrogich żywiołów.

Ale mamy przykład inny, nieco pocieszniejszy; oto kolonistka nasza znalazła się w swej nowej ojczyźnie w korzystniejszych warunkach; drapieżniki są wprawdzie, bo gdzież ich niema, ale poskromione o tyle, że można wytrzymać. Naturalnie, a będzie to z pewnością na 10 razy 9, że uzna łan koniczyny za najodpowiedniejsze miejsce dla lęgu, zwłaszcza, jeżeli nie będą wśród łanów rozrzucone pojedyncze specyalnie dla kuropatw przeznaczone remizki. W takim razie szanowny autor radzi: „dla ochrony zniesień wyznaczyć nagrodę dla kosiarzy, zostawianie kępek nietkniętych kosą, w których się znajdują gniazda, a wreszcie każe pilnować je przed psotnikami“, aż do wykłucia się płodu. Sprawia mi to prawdziwą przykrość, że idąc tą drogą nieraz ze swojskiemi kuropatwami, wśród bardzo długiej praktyki myśliwskiej w kraju, nie doczekałem się zbyt pomyślnych rezultatów. Kępki pozostawionej koniczyny były w praktyce niby szyldem oznajmiającym całemu światu, że tam się znajduje gniazdo kuropatwy. Dopilnowanie zaś i ochrona zniesień, pomiędzy kośbą a wykłuciem się piskląt, mogąca się przeciągnąć aż do 3 tygodni, nie jest wcale rzeczą tak łatwą na naszych obszernych łanach, a już wcale niemożebną wśród ciemnych nocy, w których włóczący się drapieżnik najwięcej psot dokonywa, zwłaszcza, jeżeli mu tak zupełnie pewną przygotowano spiżarnię. Zwierz drapieżny szybko przemyka nagą płaszczyznę w swych wycieczkach, natomiast z wielkiem zajęciem zatrzymuje się przy byle kupce zarośli, przy byle zakrzaczeniu. Ztąd też i remizy, tak ważne jako ochrona przed ptactwem drapieżnem, nie mogą się przyczynić do ochrony, jeżeli w okolicy znajdują się lisy i inne drapieżne buszowniki.

Otóż jakiegoby pochodzenia były zniesienia kuropatw, postąpimy o wiele lepiej nie dając losu ich na niepewne jutro i tak już ta nasza, lub nabyta kuropatwa natańczy się dosyć wśród mieczów, pocóż przedłużać czas niepewnej egzystencyi, i wkładać na się pęta zależności od najrozmaitszych czynników. Mojem zdaniem przeto, będzie najlepiej i najracyonalniej, jeżeli każde odkryte zniesienie kuropatwy, będzie oddane natychmiast opiece jakiej poczciwej kurki lub indyczki, o co zresztą nie trudno, a b ę d z i e m y m i e l i z t e g o p o d w ó j n ą k o r z y ś ć, b o z a b e z p i e c z y m y i p ł ó d p i e r w s z y i z m u s i m y n i e j a k o p o z o s t a ł ą k u r o p a t w ę d o d r u g i e g o l ę g u.

Postępując w ten sposób można w krótkim czasie dojść przy cokolwiek sprzyjających warunkach otoczenia, do stad imponujących liczbą, co jest nader ważnym warunkiem w hodowli kuropatw, a szczególniej w naszym klimacie, gdzie oprócz innych wrogich wpływów, zagraża kuropatwie również i długa, śnieżna zima, ze wszystkim wybrykami prawdziwie śródlądowego podniebia. Dla licznego stada zima jest łatwiejszą do przebycia, a również i starania około wielkich stad wśród zimy stają się o wiele łatwiejszemi. Kuropatwa w wielkich stadach nader rzadko kiedy cierpi od zimna, przeciwnie czem mniejsze stadko, tem więcej silne mrozy i wiatry ofiar wymagają, a gdy w dodatku jeszcze harpia głodu ukaże im swe blade lice, to ginie wszystko do nogi bez współudziału innych czynników. Objawu tego przyczyna leży w naturze tego ptaka, który znajdując się w wielkiej liczbie, skupia się na noclegi w ten sposób, że jedno ciałko drugie ogrzewa i w ten sposób zdolnem jest do zniesienia tego, czego małe z kilku sztuk złożone stadka znieść nie są w stanie. Wielkie zatem stada będąc zabezpieczone od zimna, również i na brak pożywienia są o wiele wytrzymalsze, już choćby dlatego, że wygodniejsze, cieplejsze noclegi, nie wytwarzają tak wielkiej potrzeby pokarmu, jak to ma miejsce u organizmu wycieńczonego zimnem. Gdy tylko stada z jakichkolwiek przyczyn, niezależnych od myśliwego, poczynają szczupleć znacznie, jest to znak bardzo złowrogi, zniszczenie postępuje wtenczas w coraz to szybszem tempie — w dobrym razie pozostaje jakaś cząstka niedobitków. Ztąd nie można się znów tak bardzo pocieszać, że w takich warunkach wyginie wprawdzie coś, ale coś i dla nas pozostanie, bo nie pozostanie albo nic, albo pozostanie tyle, że tem się nie zadowolni nawet skromnych wymagań myśliwy.

Co do pośredniego wpływu jakiby sprowadzenie żywego materjału wywrzeć mogło na hodowlę kuropatw wogóle, to zgadzam się, że w początku drogi i z przeszkodami nabyty materyał pobudziłby do czujności i starań, któreby również na dobre wyszły i kuropatwom domowym, jednak wobec zgody naszej co do bezpośredniego znaczenia praktyki z kuropatwami sprowadzonymi, wątpię, aby nasze społeczeństwo myśliwskie wstąpiwszy na drogę postępu, potrzebowało aż tak awanturniczych, a nawet dość naiwnych środków, aby chronić swój własny, domorosły zwierzostan.

Kuropatwa, ten ptak prawdziwie kulturnych stosunków łowiectwa, stawszy się z konieczności na pół domowym, w swej nowożytnej sukience jest mało znanym społeczeństwu łowieckiemu, a jako mało znany przedmiot, nie dziw, że był i jest z małymi wyjątkami, obojętnym. Przeciwnie w miarę bliższego rozpoznawania, zrozumienia, każdy przedmiot zaczyna zatracać swą martwą barwę, a nabierając życia i blasku, poczyna coraz żywiej zajmować. Ztąd myślę, że już obfite i częste wentylowanie tej sprawy rozszerzy zakres poznania i stanie się dostatecznym czynnikiem do szczerego zajęcia, choćby z ciekawości spróbowania tego, o czem inni mówią i piszą, a jeszcze więcej podziałaćby mógł dobry podręcznik wskazujący zasadniczą wytyczną w postępowaniu.

Dorywcze połapanie jakichś szczegółów stosowanych gdzieindziej z najlepszym skutkiem w sztucznej hodowli kuropatw i naśladownictwo, bez objęcia całości przedmiotu, stało się u nas już nieraz przyczyną gorzkich zawodów, a nawet zrodziło u niejednego pewien rodzaj pesymizmu, od którego do niedawna bodaj myśliwy był wolnym. Niejeden myśliwy z krwi i kości, w szlachetnym zapale, pourządzał sobie remizy wśród pól, bo je widział za granicą, czytał wiele o ich błogiem znaczeniu dla kuropatw, ale cóż z tego, kiedy zapomniał, że tam, gdzie remizy odgrywają zbawienną rolę w hodowli, po stuletniej, niemal eksterminacyjnej walce lis należy do rzadkości, a z innymi buszownikami toczy się ustawiczna, zażarta walka na całym froncie, zapomniał, że u niego samego wśród pól i lasów mykieta pozakładał swe warowne zamki i że w takich okolicznościach, remizy były istną spiżarnią dla tej drapieżnej hołoty, którą się skrzętnie chowa jako przysmak na zimowe łowy.

I nie było końca żalom i narzekaniom, bo w remizach oprócz kart wizytowych niepowołanych gości, nie można było znaleść kuropatwy.

I tak dalej i dalej mógłbym naprowadzić cały tom, z życia wziętych przykładów, potwierdzających że częstokroć najlepszemi chęciami ożywiony myśliwy, a przytem znawca przedmiotu, czuje się bezsilnym wobec wrogich żywiołów, pochodzących z zewnątrz, z poza zakresu jego działania. Ztąd wogóle mówiąc, podniesiona akcya kulturna na polu hodowli kuropatw, wydała mi się przedwczesną, bo ubiegającą sprawy, któreby przedtem załatwić należało, ztąd może przesadną obawa szan. autora, że głos mój ader skromny, ale jak to przyznaje szan. autor, poparty niezaprzeczonymi argumentami, mógłby szkodliwie wpłynąć, bo zniechęcić do dalszej pracy.

Takie głosy wsparte na dobrych fundamentach, a podniesione z całą siłą przekonania, nigdy szkodzić nie mogą, przeciwnie zaś głosy obracające się wśród chaosu nieuchwytnych czynników, wypowiedzenia niezdecydowane i nieoparta na silnem przekonaniu, są to tępe broni niezdolne posunąć naprzód podjętej sprawy. Być może, że głosem moim, stając okoniem przeciw żywemu prądowi, wyrządziłem komuś mimowolnie jakąś przykrość, no ale to trudno samych przyjemności wyrządzać nie możemy, a przemijającą chwilkę przykrości wybaczą mi po chrześcijańsku ci wszyscy, których może ochroniłem od długich i kosztownych zawodów.

Ale jeszcze jedna rzecz wcale już nie techniczno-przyrodniczej natury, która mi się zawsze jak mara nasuwa. Nie wchodząc w to, czy sprowadzanie żywych kuropatw zaprowadzi lub nie zaprowadzi nas do celu, a mając jedynie akcyę towarzystwa na oku, poprzeć muszę jak najgoręcej projekt szan. autora, aby z obstalunkami zwrócono się wyłącznie na zachód kraju naszego, jeżeli również import z innych dzielnic Polski, byłby niemożebny, tem bardziej, że szan. autor niezawodnie dobrze obznajomiony ze stosunkami tamtejszymi, ręczy za skutek. Czyż my mało jeszcze opłacamy przymusowych haraczów zagranicy na każdym kroku, czyż jeszcze nie dosyć tego, czyż jeszcze mamy sobie narzucać nowe dobrowolne? Jest wszelka nadzieja, że pierwotnie bardzo wielkim cyrklem nakreślone koło starań o żywy materyał, ścieśni się o wiele do roku przyszłego, tj do terminu, do którego sprawa ta doznała „szybera“, a byłoby to prawdziwe gaudium, gdyby ścieśniło się do granic, zkąd swojskie biją serca i gdzie swojskie wyrastają kuropatwy. Tymczasem z nadchodzącą już wiosną, kto chce i może pójść za moją radą. niechaj pilnie śledzi pierwsze zniesienia kuropatw, niech jak tchórz wyławia je z wszelkich miejsc niepewnych i natychmiast powierza kokoszce do wysiadywania, a może się przekona, gdy inne wrogie okoliczności w drodze nie staną, że prorocy są i w domu i może już w jesieni nawoływać będzie drużynie łowieckiej razem ze mną słowa Steraklita: *Jntroite! nam et hic Dii sunt*!

Kotowania 22. marca 1898.



OBRAZKI Z ŻYCIA MYŚLIWEGO.

przez A. hr. Sumińskiego.

Nieraz zdarzają się w łowiectwie tak przedziwne zdarzenia, że nie łatwo im uwierzyć, a jednak to są fakta które nieraz naoczni, wiarogodni świadkowie potwierdzić mogą. Nic w tem dziwnego, że myśliwym często nie wierzą. Wszędzie tak było, jest i będzie, iż wydarzenia niezwykłe, później powtarzane z ust do ust przybierają tak potworne kształty, iż z faktu prawdziwego staje się nieprawdopodobna bajka z tysiąca i jednej nocy. Są myśliwi, którzy sami źle strzelając, chcą potem ratować honor myśliwski nieprawdopodobnemi opowieściami, których nieprawdziwość atoli bardzo łatwo stwierdzić. Ja, ile razy słyszę dziwną taką historyę z ust dobrego myśliwego, choć nawet na dnie mojej duszy rodzi się iskra niedowierzania, choć pomyślę, że to prawie niepodobna, mimo to jednak chcę wierzyć i przypuszczam, że tak się stać mogło, jak ów myśliwy opowiada. Są to czasem rzeczy niezmiernie ciekawe, to też każdy myśliwy powinien epizody niezwykłe w swem życiu nietylko notować, ale i ogłaszać, dzielić się nimi z czytelnikami i wzbogacać w ten sposób literaturę łowiecką i rozszerzać doświadczenie. Naturalnie bajki, opowiadania nieprawdopodobne, dobre są dla dzieci, jako bajki do usypiania. Takich opowiadań nie mam na myśli.

I. Słonka zmartwychwstała.

Byłem wówczas w gimnazyum, a choć tam w szkole różnie bywało, zawsze byłem gorącym adeptem św. Huberta, a wakacyi to już doczekać się nie mogłem, tęskniąc do lasów i pól. I milej mi było przebiegać przez pola i lasy w towarzystwie lankastrówki ukochanej, niż tłumaczyć ody Horacego lub epopeje homerowskie. Jakże też ucieszyłem się, gdy pewnej soboty zabrał mnie śp. mój ojciec, znakomity myśliwy i strzelec na wieś, na ciąg słonek.

Leśniczy, który był bardzo złym myśliwym, ale wybornym strzelcem, co i na odwrót dzieje się u ludzi, poszedł z nami.

Stanęliśmy nareszcie u celu. Kos z drozdem dali nam wspaniały koncert, a gdy dzwony z wież okolicznych kościołów uderzyły na wieczorne pacierze, ucichło wszystko w tej wiośnie budzącej się po letargu zimowym. Po chwili usłyszeliśmy te tak lube dźwięki dla ucha myśliwskiego, najpierw „psuit“, a potem szybko po sobie „ktar“, „ktar“. Św. Hubert tym razem nie był na nas łaskawym i tylko muzyką nas uraczył, do strzału zaś nikt z nas nie doszedł. Za to leśniczy strzelił cztery razy. — Zmierzch, jak zwykle na ciągu, prędko zapadł i ojciec mój dał sygnał do odwrotu. — Przyszedłem do śp. ojca mego prawie równocześnie z leśniczym, który zdążał z drugiej strony, a na którego młoda wtedy suka mego ojca zaczęła warczeć Wówczas byłem świadkiem wypadku bardzo rzadkiego i dla mnie dotychczas jeszcze, choć to lata minęły, niezrozumiałego. — Ojciec mój znając strzelanie leśniczego zapytał go żartobliwie, wiele słonek zabił. — Na to leśniczy pełen radości i dumy dobywa słonkę z kieszeni. — Ojciec bierze ją do ręki, ogląda, chwali, a po chwili rzuca ją psu do aportowania. — W chwili, gdy pies zbliżył się do słonki, aby ją podnieść, ona porwała się z ziemi. My do fuzyi, za ciemno jednak było już na strzał i słonka zginęła w gąszczach zagajnika.

Oczom prawie nie wierząc, biegniemy za nią i szukamy jej dobrą godzinę daremnie, pocieszając się, iż znajdziemy ją jutro za dnia. — Nazajutrz szukaliśmy z dwoma psami jak najdokładniej i nie znaleźliśmy jej również.

Słonka ta była najmniej ze cztery minuty w kieszeni leśniczego, a o kontuzyi i mowy być nie może, w obec tego, że tak na podszewce, jak i na rękawiczce mego ojca była farba.

Dla mnie zostało to zagadką nierozwiązaną. Bo i co tu przypuszczać?

II. Cztery kaczki.

Jednego dnia szedłem na kuropatwy, a skracając sobie drogę, przeszedłem przez ogród, gdzie znajdował się duży staw, na którym zawsze były kaczki. Idąc, od niechcenia spojrzałem na lewo i zobaczyłem cztery wielguski, siedzące na strzał na stawie, tuż przy trzcinie Nie długo namyślam się i składam się do nich — źle się wyraziłem, nie do nich, lecz do najbliższej z brzegu i strzelam z prawki, oczekując porwania się reszty, aby z drugiej lufy strzelić do nich. Lecz o dziwo, nic się nie porywa. — Patrzę na staw i widzę, że coś leży i trzepie się na wodzie, wiele jednakże tych kaczek tam było, dokładnie nie widziałem. Pies, którego miałem ze sobą, nie szedł na wodę, wsiadłem tedy w łódkę i dojechałem do kaczek, których cztery dobyłem z wody. W myśli mi nawet nie powstało, mierzyć do całej tej gromadki i strzelając do pierwszej z brzegu, najdziwniejszym zbiegiem okoliczności zabiłem wszystkie cztery. — Przytaczam to zdarzenie dlatego, że z czterech sztuk wszystkie cztery na jeden strzał zabiłem — zupełnie tego zamiaru nie mając i mierząc tylko do jednej, pierwszej z brzegu. Zdarzało mi się już nieraz kilka sztuk zabić ze stada, czy to kuropatw, czy też kaczek. Raz np. zabiłem sześć kaczek od jednego strzału, mierząc do siedzącej gromady, ale było ich tam dużo i reszta porwała się z hałasem. Ale tu siedziało cztery i cztery zabiłem.

III. Druga kula.

Raz dnia 10. czerwca pojechaliśmy na podjazd do T. Jest to jedna z najpiękniejszych kniei, jakie znam. Wszystko tam spotkać można, a stan sarn tak pomyślny, że prawie nie do uwierzenia. To też w kniei tej w dwie strzelby przez dwa dni, czyli cztery podjazdy, zabić trzydzieści rogaczy wybieranych, wcale nie jest wielką sztuką

W jednym z rewirów był ogromny rogacz, który zawsze kręcił się na wyrębie i tylko przez szkła na siebie patrzeć pozwalał, na strzał zaś nie przypuszczał. Podjeżdżałem go prawie na każdym podjeździe i zawsze, gdym miał już wyskakiwać z wozu, umykał z wyrębu w gąszcze.

Był to wtedy ostatni dzień, podjazd wieczorny. Wyjeżdżam na wyrąb, rogacz jest. Pasie się niedaleko gąszczów, ale już wóz go niepokoi i co chwila łeb z pięknymi rogami podnosi, ku mnie zerkając. Tym razem atoli dał się bliżej podjechać, a że zaczął teraz iść powoli ku gąszczom wyskoczyłem z wozu i złożyłem się do niego w chwili, gdy stał tuż przy zagajniku, z głową prawie już w gąszczach a lustrem zwrócony do mnie. — Żal mi było, że pożegnać się z nim mam może na zawsze i pomimo niefortunnej pozycyi — strzeliłem. — Chybiłem na czysto, ale rogacz, jak piorunem rażony, zwraca się na miejscu i w pełnym galopie wybiega na wyrąb. Na stodwadzieścia kroków stanął i przerażony spojrzał w moją stronę. — Tu dopiero błogosławiłem dwulufowy sztuciec, druga kula w mgnieniu oka posłana do niego, zrobiła swoje. To jednak ciekawe, że taki mądry rogacz, chybiony pierwszym strzałem, stojąc prawie już w gąszczach, gdzie mógł się sto razy salwować na zawsze, zwrócił się po strzale na goły wyrąb i postawił się do strzału jak tarcza.

IV. Żyd na podjeździe.

Służyłem wtedy stale przy wojsku, a że czerwiec już był prawie w połowie, a nigdy obowiązków względem św. Huberta nie zaniedbywałem, tęskno mi było do rogaczy, które widywałem zawsze ile razy wyjechałem z koszar, dotykających prawie do lasu. We dwóch z mym kolegą uprosiliśmy tedy właściciela polowania o pozwolenie odstrzelenia po rogaczu i fiakrem żydowskim ruszyliśmy na podjazd! Że ten żydek nie pojedzie już z nikim w życiu na podjazd, o tem jestem więcej jak przekonany. Każdy sobie to łatwo wyobrazi, jeżeli wyjaśnię, że teren na łąkach był mokry, a więc koń miejscami po kolana zapadał, a koła po osie się wrzynały, na innych zaś drogach był głęboki piasek. Przytem i koń już był w latach, wycieńczony służbą, jaką zazwyczaj te nieszczęśliwe stworzenia pełnią w takich rękach.

Nie rozwodzę się nad tem, jak cmokaniem, wiokaniem, wywijaniem bata i ciągłem stawaniem w najdrastyczniejszych chwilach spędził nam żydzisko, nie mający najmniejszej żyłki myśliwskiej, dwa rogacze, — Ciągnęliśmy z kolegą supełki, kto pierwszy ma z nas strzelać. Kolega był wybrańcem losu. — A że, jak wspomniałem, dwa rogacze nam żyd spędził, więc się podjąłem furmaństwa, pod warunkiem wywzajemnienia się po strzale. — Udało mi się też wkrótce podjechać rogacza, do którego mój towarzysz chybił, dzięki niespokojnemu zachowaniu się niefortunnego żyda, za co mu się po strzale dość dostało, — Zamieniwszy rolę, pojechaliśmy dalej, szaro się już robiło, gdy zobaczyłem ładnego szóstaka, który z łąk krótkim kłusem podążał za kozą ku gąszczykom. — Wyskoczywszy z wózka strzeliłem. Rogacz poszedł, jak strzała. — Farby nie znalazłem, ale oto, co znaczy przeczucie. — Mimo tłómaczenia mego towarzysza, że chybić musiałem, bo ciemno, że spóźnimy się na kolacyę, za co kara nas nie minie, po szukaniu około kwadransa, nie dałem za wygraną, bo czułem, że rogacz

trafiony. — Towarzysz mój wrócił do wózka bardzo niezadowolony z mego uporu, a ja już sam udałem się na poszukiwania. Szedłem bez orjentacyi, jakby wiedziony przeczuciem, wzdłuż rowu z wodą, szerokiego na dwa metry, ale zupełnie płaskiego. Tak uszedłszy ze 300 kroków, zupełnie bezwiednie wszedłem prawie na mego rogacza, który po strzale o centymetr nad komorę, szedł tak długo, jak mógł nad tym samym rowem przewróciwszy się do wody, tak, że cztery skoki z niej sterczały. — W parę minut potem jechaliśmy do domu, ja w złotym, mój kolega w średnim, a żyd w najgorszym humorze.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Kilka słów o polowaniu wiosennem na słonki.

Kłusownictwo wykonywane za pomocą sideł.

Polowanie na słonki z nagonką na wiosnę, które od kilku lat, tak wielkie przybiera rozmiary, według mego zdania jest największą szkodą dla tego polowania w jesieni. Słonka w marcu, czy kwietniu przybywa już sparowana po większej części, strzał do niej z braku liścia na drzewach jest nadzwyczaj łatwy, bo się słonkę ciągnącą z daleka widzi, kiedy w jesieni wśród liścia widzi się ją tylko na linii nad głową, przeto strzał o wiele trudniejszy. — Na wiosnę niech będzie w rewirze 10 słonek pewnie z nich 7 zginie przed nagonką. — Słonka wedle mego zdania przeciąga w jesieni tymi samymi szlakami co na wiosnę, gdzie obfity żer i spokój znalazła, lecz wraca nie pojedynczo lub parami, lecz z całą rodziną. Gdy więc zabijamy jedną słonkę z pary na wiosnę, tracimy na jesień sześć sztuk. — Od czasu, jak przestałem na wiosnę polować na słonkę z nagonką, mam daleko piękniejsze ciągi w jesieni. Powtóre przy polowaniu na słonki z nagonką na wiosnę płoszą się i rozbijają o drzewa kotne sarny i pewnie niejedna nie donosi koźlęcia do czasu.

Inaczej zapatruję się na polowanie na ciągu wieczornym lub rannym, tu przeważnie giną samce niesparowane, bo samica nie chrapie, tylko świstem wabi; par lecących można nie strzelać, a wiemy dalej, że w rodzie ptasim, więcej jest samców niż samiczek. Dalej strzał przy kończącym się brzasku wieczornym i poczynającym się rannym jest bardzo trudny, o wiele trudniejszy niż strzał przed nagonką, nawet w jesieni, gdzie padnie na 3 strzały jeden jest trafny, kiedy na ciągu na 10 strzałów ledwie jedna słonka spada na przeciętnie dobrze strzelającego myśliwego.

Dlatego wobec zbliżającego ciągu słonek, których co tylko nie widać, wzywam szlachetnych towarzyszy myśliwych, aby zaprzestali zgubnego polowania z nagonką na słonki na wiosnę, a uprawiali prawdziwie myśliwski sport na ciągu, który ma tyle uroku a tak mało słonkom szkodzi, a przekonają się jak się zwiększy ciąg słonek w jesieni. Słonek przecież coraz mniej ciągnie, jak to przedstawiają statystyczne daty od roku 1872 do dziś, które tu podaję szczegółowo.

W r. 1872/73	zginęło	w Olejowie	słonek	495	
„ 1873/74	„	„	„	436	
„ 1874/75	„	„	„	121	
„ 1875/76	„	„	„	111	
„ 1876/77	„	„	„	63	
„ 1877/78	„	„	„	101	
„ 1878/79	„	„	„	250	
„ 1879/80	„	„	„	438	
„ 1880/81	„	„	„	70	
„ 1881/82	„	„	„	90	
W r. 1882/83	zginęło	w Olejowie	słonek	205	
„ 1883/84	„	„	„	140	
„ 1884/85	„	„	„	69	
„ 1885/86	„	„	„	223	
„ 1886/87	„	„	„	178	
„ 1887/88	„	„	„	150	
„ 1888/89	„	„	„	85	
W r. 1889/90	zginęło	w Olejowie	słonek	65	polowano na wiosnę z nagonką
„ 1890/91	„	„	„	44	
„ 1891/92	„	„	„	58	
„ 1892/93	„	„	„	57	
„ 1893/94	„	„	„	34	
„ 1894/95	„	„	„	46	
„ 1895/96	„	„	„	139	nie polowano
„ 1896/97	„	„	„	105	
„ 1897/98	„	„	„	25*)	

W Olejowie, gdzie od wielu lat kłusownictwo ze strzelbą nie istniało prawie, zaczęto teraz łapać zwierzynę na cewki i łapki, tak sarny jak i zające. Jest to kłusownictwo dla stanu zwierzyny daleko szkodliwsze niż strzelanie zwierzyny przez kłusowników ze strzelbą, bo wobec tego straż leśna i żandarmerya jest bezsilną, tylko przypadek zdoła naprowadzić ją na takie sidło. Dotąd wprawdzie w lesie nie napotkano tych sideł, tylko po sadach i sianożęciach włościańskich, graniczących z lasem.

Chodzi o to, aby takiego amatora cichego sposobu gładzenia zwierzyny, gdy się go wreszcie wyłapie, władze powiatowe polityczne nadzwyczaj surowo karały. Dotąd starostwo w Złoczowie nadzwyczaj troskliwie opiekowało się każdym kłusownikiem złapanym z bronią palną, jak będzie ono postępowało z kłusownikami, łapiącym na sidła, tego nie wiem, bo dotychczas nie mieliśmy tego wypadku. Trzebaby koniecznie, aby Wydział Tow. łowieckiego wniósł do c. k. Namiestnictwa podanie, by okólnikiem nowym wezwało ck. Starostwa do nadzwyczajnego ścigania tych cichych amatorów cudzej zwierzyny, czy to w obrębie lasu rowem okopanego, czy na wydzierżawionem gminnem polowaniu, czy wreszcie w sadzie lub w pasiecie własnej. Myślę, że ci, którzy stoją na czele łowiectwa naszego, zajmą się gorąco tą sprawą, bo rozkrzewienie się tej gałęzi kłusownictwa już przerażające rozmiary przybrało, a tak trudnem jest do zwalczenia, bo kłusownika zwykłego już przy trzecim strzale straż leśna przychwyci, kiedy przy sidle ledwie tysiącznego razu przychwyci się kłusownika.

Olejów 29. marca 1898.

Aleksander Wodzicki.

*) Z powodu śniegu polowano 1 dzień.

Z LITERATURY ŁOWIECKIEJ.

II.

Do tych wskazówek hr. Potocki się zastosował, a zapewniwszy sobie usługi najlepszego przewodnika somalijskiego (*head man'a*), zaopatrzywszy się w broń najdoskonalszą grubego kalibru i we wszelkie zapasy, opuścił w Tryjeście brzegi Europy w pierwszych dniach grudnia 1895 r., mając za towarzyszów podróży hr. Tomasza Zamoyskiego i hr. Jana Grudzińskiego.

Dnia 12. grudnia 1895 r. statek austryackiego Lloyda wysadził na ląd afrykański w Adenie tych trzech polskich myśliwych. Tu zaraz u portu powitał ich zamówiony przez hr. Potockiego ów *head man*, przewodnik Alikhar, który podczas całej wyprawy nieocenione oddał usługi naszym myśliwym i któremu w znacznej części autor i jego towarzysze zawdzięczali nietylko obfite zdobycze myśliwskie, ale poniekąd i życie. Mówiąc wybornie po angielsku, służył za tłumacza między Somalijczykami a myśliwymi. Postać jego autor tak opisuje:

„Czarna twarz o bronzowym skóry połysku, o rysach niemal europejskich, nozdrzach rozdętych, jak u arabskiego rumaka, okolona, jak grzywą, długimi, do ramion spadającymi kędziorami, nie jest pozbawiona szlachetnego wyrazu; cała postać w ubiorze, składającym się tylko z białej, naokoło bioder i jednego ramienia okręconej opończy, oraz ze sznurka czarnych korali i w skórę zaszytych talizmanów z koranu, naokoło szyi przewieszonych — tworzy typ oryginalny, uderzający i niemal imponujący wśród czarnej zgrai zwykłych dzikusów.“

Z Alikharem nasi podróżni ułożyli plan wyprawy i poczyniwszy ostatnie zakupy, z kilkunastoma krajowcami, którym przewodził Alikhar przypłynęli do Berbery, stolicy somalijskiej na afrykańskiem wybrzeżu zatoki adeńskiej.

Berbera niczem nie przypomina ani miast europejskich, ani nawet miast muzułmańskiego Wschodu. Właściwe miasto składa się z kilkudziesięciu domów, biało otynkowanych, o płaskich dachach, za nimi ciągnie się ogromna przestrzeń, pełna szałasów krajowców, zamieszkanych przez przybyłe z wnętrza karawany z ludźmi rozmaitych ras i szczepów. Białych w Berberze mieszka tylko pięciu, a mianowicie: rezydent angielski, ajent jakiegoś niemieckiego domu handlowego i trzech OO. Kapucynów, którzy założyli tu od kilku lat misyę i nauczają dzieci somalijskie. Przełożonym misyi jest O. Cypryan, Belgijczyk, który od lat wielu wśród Somalijczyków przebywa, studyuje ich język i pracuje nad ułożeniem słownika i gramatyki somalijskiej.

Rankiem wczesnym dnia 17. grudnia ruszyła karawana w głąb kraju na południe. Nie mała to sztuka złożyć należycie całą kalwakatę myśliwską. Oto jak ją opisuje sam autor: „Na czele kroczyło 50 wielbłądów podzielonych na cztery grupy, według rodzaju ciężarów, które niosły, t. j. naczynia z wodą, prowiant dla ludzi, nasze zapasy żywności, wreszcie namioty i nasz bagaż osobisty. Każdy oddział idzie osobno, gęsiego, przyczem z tyłu idący wielbłąd do ogona poprzedzającego jest przywiązany. Do dwóch wielbłądów jest jeden paganiacz tzw. „*camel-man*“. Z pomiędzy nich kilku starszych kieruje resztą. Każdy niesie prócz dwóch dzid i tarczy, karabin i pas z ładunkami; wszyscy razem stanowią eskortę, która karawanie europejskiej, dążącej w głąb kraju Somali, zawsze towarzyszyć musi. Karabiny „Snider“, według przepisu rezydenta angielskiego, winny być zawsze nabite i eskorta każdej chwili do akcyi gotowa... Prócz *camel-manów* należą do składu karawany myśliwi, czyli *shikari*, po dwóch dla każdego z nas, t. zw. pierwszy i drugi. Obowiązkiem ich jest tropić zwierza, towarzyszyć swemu panu na polowanie, na krok go nie odstępować, nosić za nim broń, pilnować jej i amunicyi, strzelać zwierzynę, obcinać rogi itp. Dalej należą do karawany przyboczni służący, t. zw. *boy*, wreszcie *sais*'owie, czyli chłopcy do koni, po jednym przy każdym kucyku.

„Kucyków mieliśmy cztery, dosyć liche okazy somalijskiego chowu, z widoczną przymieszką krwi arabskiej, mizerne i niezbyt silne, lecz na doskonałych, pewnych nogach, z dobrym temperamentem, niesłychanie wytrzymałe na długie pochody w piekącym skwarze, wśród bezwodnych okolic.

„Ważną osobistością w składzie karawany naszej był kuchmistrz Dirri, Somalis z rodu, mówiący nieźle po angielsku, który na jakimś statku europejskim poduczył się swego fachu i rzeczywiście jest doskonałym obozowym kucharzem, mającym wielkie wzięcie u wszystkich karawan myśliwskich. Nareszcie wymienię tu Achmeda Dżamę, t. zw. *second headman'a*, czyli młodszego przewódcę. Wkońcu mieliśmy też reprezentantkę płci pięknej, wcale nie piękną Somalijkę, której funkcye polegały na pilnowaniu stadka owiec, zabranych jako żywa śpiżarnia.

„W ten sposób złożony tabor zostawał pod bezpośrednim zarządem i rozkazami Alikhara; on ludziom wydawał polecenia, wydzielał porcye jadła i picia, oznaczał godziny marszu i miejsca popasu, obmyśliwał każdy szczegół pochodu lub obozu, jednem słowem, — kierował wszystkiem i czynił to najlepiej i najdoskonalej, jak tylko zapragnąć było można, wszystko naturalnie na podstawie poprzedniego wspólnego porozumienia się i wskazówek, których się mu udzielało.

„Wszyscy nasi ludzie, ogółem przeszło 50, byli z wyjątkiem jednego Araba, zwanego Selim, rodem Somalisi, należący do różnych szczepów z głębi kraju, wprawni w ekspedycyach myśliwskich, sprytni, chętni, uczciwi, weseli i specyalnie dobrani przez Alikhara.“

Z bijącem sercem opuszczają myśliwi 17. grudnia Berberę i wkraczają na rozległą dżunglę. Pierwsze dni nie przynoszą silniejszych wrażeń. Tu i ówdzie przemknie smukła antylopa lub gazella, plączą się ślady różnych gatunków dzikich kóz lub zatamuje oddech myśliwca wspaniały Gerenuk, którego udało się hr. Zamoyskiemu celnym położyć strzałem. Rozkłady wieczorne bywają mniej lub więcej obfite, ale brak w nich jeszcze króla pustyni, tygrysa lub innego drapieżnika. Nie zbaczano jednak dla tej zwierzyny z drogi, karawana śpiesznym krokiem dążyła naprzód, do rewirów grubego zwierza, który był głównym celem wyprawy. Dni marszu, jak dwie krople wody był jeden zupełnie podobny do drugiego. Rano o 3 ciej dawał Alikhar znak do wstawania, karmiono wielbłądy i kucyki, jedzono śniadanie, przed 5-tą następował wymarsz, do 10 lub 11 trwał pochód, od 11 do 2-giej po południu odpoczynek, potem znów marsz do pół do szóstej i nocleg. Robiono dziennie do 40 kilometrów i podczas marszu zachwycano się przyrodą drobniejszymi okazami fauny, szczególniej

ptactwem, które napotykano, a którego piękne, barwne upierzenie mile nęciło oko.

„Dni pochodu szybko mijają — pisze dalej autor — czas leci tak prędko, że z obozu o świcie wyszedłszy, ani się spostrzedz można, jak już na nocny spoczynek taborem się w głuchej dżungli zapadnie. Nowość krajobrazów, urok odmiennej przyrody, wreszcie ciągłe oczekiwanie tego co będzie, nie pozwala ani chwili się nudzić; ciało przyzwyczaja się szybko do życia obozowego i forsownych marszów, które przeważnie pieszo odbywamy. Człowiek odżywa formalnie w tej zdrowej egzystencyi w cudnym klimacie po gnuśnem życiu, jakie się zazwyczaj prowadzi.

„Zawieramy bliższą znajomość z naszymi ludźmi, oni się do nas zaczynają przyzwyczajać; wytwarza się jakby serdeczny stosunek wzajemnej przyjaźni z temi prawdziwemi dziećmi natury. Niejedna godzina chodzi na pogawędce z Alikharem, od którego wiele ciekawych szczegółów o kraju Somali i jego mieszkańcach dowiedzieć się można.“

Przez cały niemal czas wyprawy najdotkliwiej uczuwać się dawał brak wody do potraw i dla licznej eskorty, oraz dla koni i wielbłądów. Woda w owych stronach znajduje się jedynie w jamach, wykopanych w korytach wyschłych rzek lub sztucznych zagłębieniach, czasem wprost niemożliwa do picia.

Ten brak wody daje hrabiemu Potockiemu możność do poczynienia ciekawych spostrzeżeń co do dziwnej odporności przeciw pragnieniu gruboskórców, oraz w ogóle zwierzyny tych stref. Miał on sposobność przekonać się, że wytrzymują one całe miesiące zupełnie bez wody, że okolice najbardziej spieczone i pozbawione wilgoci, nieraz bywają najbardziej zaludnione wszelkiego rodzaju zwierzem. Pono nosorożcom wystarcza żuć liść pewnego gatunku kaktusa, aby ochłodzić się ukrytą w nim wilgocią. A nawet karawanowe bydło pociągowe, jakże małej ilości wody potrzebuje? Kucyki co dwa dni, wielbłądy co trzy dni pojone, wytrzymują skwar okrutny i długie marsze po wyschłej dżungli.

Dnia 21. grudnia nasi trzej myśliwi przybyli do Hergeizy, jedynej prócz Berbery, stałej osady somalijskiej. Na południe od niej ciągnie się pusta i bezwodna równina Haud, około 160 mil angielskich szeroka, a 200 długa, a dalej leży kraj Ogaden, ciągnący się aż do rzeki Lamparcię, granicy kraju Somali.

Tu daje nam autor kilka rysów z życia mieszkańców tej afrykańskiej krainy i kreśli pokrótce ich charakterystykę. Somalowie powstali z krzyżowania szczepów murzyńskich z przybyszami arabskimi. Są narodem koczowniczym *par excellence* i służyć mogą za prototyp konserwatywnych Nomadów. Nic się u nich nie zmieniło; jak było przed lat tysiącem, tak jest teraz. Najlżejszy podmuch cywilizacyi europejskiej ich nie owiał i nie zamącił pasterskiego trybu życia. Wędrując przez ich kraj, doznaje się uczucia, nie pozbawionego pewnego uroku, że się jest przeniesionym w dawno ubiegłe wieki biblijne i patryarchalne stosunki ludów pasterskich, w całej prostocie zwyczajów, tchnącej jakąś szlachetną wielkością.

„Podział na szczepy, z silnym pierwiastkiem arystokratycznym, stanowi podstawę ich ustroju społecznego. Teorya szczepu jest u nich posunięta do ostateczności; indywiduum nic nie znaczy, wszystko się czyni dla szczepu, jego honoru i potęgi. Wspólnej organizacyi między szczepami nie ma; przeciwnie żrą się i wojują z sobą zawzięcie.“

Wśród pustynnego stepu, pod palącem niebem południa, zaskoczyła drużynę wigilia Bożego Narodzenia.

Fakt ten daje autorowi sposobność do skreślenia pięknego ustępu, do odmalowania uczuć i tęsknoty z tej ziemi słońca do krainy ojczystej, ściętej lodem, okrytej całunem śniegu, gdzie obchodzono uroczystość Narodzenia Pana, gdzie w chatach wieśniaczych i w pałacach magnatów, rozlegały się tony starodawnej kolendy

„Bóg się rodzi moc truchleje“.

„W dniu tym — pisze autor — myśl leciała z afrykańskiej głuszy, daleko za morza i lądy, do kraju, gdzie mrozem ziemia ścięta i białym całunem pokryta, gdzie tyle drogich sercu istot oczekuje pierwszej gwiazdy wieczornej, by w rodzinnem kole święcić największe święto chrześciańskie... Jakiż kontrast z krainą, gdzie my się znajdujemy! Podobne do ognistej kuli stopionego metalu, wschodzące słońce, zastało nas już w pochodzie na olbrzymiej równinie, nagiej, pustej, tylko wrzosem i żółtą spalona trawą pokrytej. Step ten podobny do sawanny amerykańskiego Far-Westu zwie się Zeila... Nasze sztućce złożyły dziś egzamin i dały dowód doskonałości; teleskopy (przy nich umieszczone) okazały się nieodzownymi w kraju, gdzie zwierzę na zwykłe dystanse podejść się nie daje. Łamiąc się opłatkiem z domu zabranym, zasiedliśmy do obiadu, radzi, że nas św. Hubert na gwiazdkę ładną zwierzyną obdarować raczył. Oryginalna to była wilia, niekoniecznie prawidłowa co do doboru potraw; natomiast zachowaliśmy przynajmniej uświęcony u nas tradycyą zwyczaj polowania w dniu dzisiejszym.“

W nocy tej słyszano ryk lwów w głębi puszczy i odszukano ich tropy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



STARY DZIK.

Ciąg dalszy.

Cierpiał bardzo, że nie mógł mówić dalej. Milczenie druzgotało go... Prawda, rozpoczął trochę za wysoko... Ale położenie jego jest samo przez się prawidłowem i należało mu wypowiedzieć myśl swoją do końca i wyjaśnić ją. To, że się rozgniewał i zamilkł, jest bardzo głupiem, a to, że milczy wciąż dalej, jest jeszcze głupszem!

Niespodziewane przejście do milczenia było rzeczywiście dziwnem, ale pan Piotr widocznie nie zwracał na to

najmniejszej uwagi. Starał się sobie wciąż przypomnieć, gdzie widział tę twarz, te wielkie, czarne oczy.

— Teraz widocznie natrząsa się ze mnie... Bezwarunkowo wyśmiewa się – pomyślał znowu chłopiec i z ukosa spojrzał na pana Piotra.

Ale pan Piotr się nie śmiał. Przeciwnie, patrzył na niego tak łaskawie, a główna rzecz, tak szczerze, jakby się nic nie stało.

— Wcale nie jest takim, jak o nim mówią! — przemknęło się przez głowę chłopca i nagle zrobiło mu się lżej.

— Zdaje się, że wkrótce przyjedziemy na miejsce — rzekł wreszcie, widocznie tylko dlatego, aby coś powiedzieć.

— Tak, zdaje się... czas już – rzekł pan Piotr, a w głosie jego nie było ani cienia tryumfu, ani cienia szyderstwa.

— Inny z pewnością wziąłby mnie na zęby... tak bezwarunkowo wziąłby — pomyślał chłopiec znowu.

Rozmowa znowu się urwała, ale milczenie już nie było takiem przygniatającem jak przedtem. Jechali lichą drogą leśną, która z każdym krokiem stawała się coraz węższą. Wysokie i ponure jodły, przyozdobione szronem, kupiły się coraz więcej, jedna około drugiej. Las stawał się coraz gęstszym i ciemniejszym.

— Jaka dzicz! — pomyślał chłopiec. — Nie chciałbym tu pozostać ani na chwilę sam.

Minęło kilka minut.

Chłopiec wpatrywał się ciągle w dziki obraz otaczającego go lasu i zadumał się.

— Panie Piotrze — rzekł jakimś niepewnym głosem.

Pan Piotr w milczeniu odwrócił się do niego.

— Pan już dużo niedźwiedzi zabił w swojem życiu?

— Dosyć!

— A straszne to?

— Co straszne?

— A jak niedźwiedź przyjdzie? — rzekł chłopiec uśmiechając się i starając się nadać pytaniu ton żartobliwy.

— Nie, niestraszne — zaczął pan Piotr, ale nagle przyszła mu niespodziewana myśl do głowy. — A panu?— zapytał żywo.

Coś szczególnego zadrgało nagle w jego jakby zalęknionym głosie, coś takiego, na co nie można było odpowiadać kłamstwem.

Czarne oczy przyćmiły się.

— Panu strach? — ponowił pan Piotr pytanie i poczuł, że nim samym owładnął strach.

W samej rzeczy, jak można chłopca wystawiać na niedźwiedzia?

— Doprawdy, sam nie wiem, jak to powiedzieć... Nie boję się, ale nie jestem myśliwym.

— To pocóż pan jedziesz? — zapytał pan Piotr.

— Jakto poco?

Pytanie widocznie zbiło chłopca z tropu. Gdyby mu to było pierwej na myśl przyszło, z pewnością nie byłby pojechał.

— Nie stawaj pan na stanowisku. Pozostań pan przy saniach — radził mu pan Piotr.

— Nie, nie można.

— Dlaczego?

— Jeżeli już pojechałem, to stanąć trzeba!... A oto i nasi... Przyjechaliśmy już.

Rzeczywiście przybyli na miejsce.

— Nie stawaj pan na stanowisku — nalegał pan Piotr.

— Nie, teraz już nie można! — twierdził chłopiec, wychodząc z sań. — Dziękuję za podwiezienie mnie.

— Czekaj pan, dokąd?

— Nie, daj pan pokój! Oto i wuj mnie już woła.

— Jaki wuj? Czyj wuj?!

— Mój wuj, książę. Czy pan nie wiedział, że jestem jego siostrzeńcem? Żurowski. Sądziłem, że pan wiesz... na imię mi Aleksander... Aleksander Żurowski.

Pan Piotr powstał nerwowo w saniach i znowu opadł na siedzenie.

Otóż to, gdzie widział tę twarz! Oto, czyje to oczy!

Zatrzymać chłopca, to była pierwsza myśl pana Piotra, ale...

Co jemu, staremu dzikowi do tego?

*

Panu Piotrowi dostał się numer pierwszy i w milczeniu szedł na kraj linii.

Jakieś ponure cienie osiadły na jego twarzy; wyrażała ona jakiś smutek, gniew.

— A może lepiej, gdy zamiast Sikorki stanę na skrzydle? — zapytywał sam siebie, uśmiechając się. — Albo też przejść może do naganki? To byłoby jeszcze lepiej.

Po patrzył na wyryty w śniegu numer.

— Hm... drugi. Trzeba iść dalej zatem... Może nie dotrę? I gdzie się podział ten oczajdusza Sikorka?

W tej chwili ukazał się Sikorka, biegnąc na spotkanie pana.

Nie dzień i nie dwa znajduje się on przy panu Piotrze; nie rok i nie dwa go już zna. Dość jednej zmarszczki na czole pana Piotra, dość jednego jego spojrzenia, aby spostrzegł zbliżającą się burzę.

Tym razem jednak Sikorka nie zwracał najmniejszej uwagi na groźną minę swego pana i biegł śmiało i wesoło.

Pan Piotr nachmurzył się jeszcze więcej.

Ale i to nie poskutkowało.

Sikorka odważnie podbiegł do niego i tajemniczo nachylając się do ucha pana Piotra, prawie szeptem zapytał.

— Dostał się panu numer pierwszy?

— No? — zamiast odpowiedzi rzekł pan Piotr.

— Będzie pan strzelał do niedźwiedzia! — szepnął Sikorka jeszcze więcej tajemniczo.

— Co?

— Niedźwiedź będzie nasz.

— Mów wyraźniej! — rzekł pan Piotr podniesionym głosem.

— Najlepsze miejsce... nie ma się gdzie podziać... wprost na pana wyjdzie.

— Tak?

— Obiegłem w tej chwili wszystko dokoła... Trzeba zobaczyć, myślę sobie... No, nie ma innej drogi, musi wprost walić na numer pierwszy... Śpieszyłem, aby pana na wszelki wypadek o tem zawiadomić... Ano, mówili mi, że pan i bez tego wyciągnął numer pierwszy

— Nie łżesz?

— Głowę daję w zakład... A jeżeli się bestya posunie trochę na lewo, to ja tam będę na skrzydle i nie puszczę.

Sikorka nagle zamilkł i zamyślił się.

— Oby tylko ten panicz nie popsuł wszystkiego! — dodał.

— Jaki panicz?

— A, ten siostrzeniec księcia... Stać będzie na drugim numerze.

Pan Piotr odwrócił się żywo. Rzeczywiście, Żurowski stanął na drugim numerze.

— A miejsce równie dobre? — zapytał pan Piotr, chociaż sam wiedział, że miejsce jest doskonałe.

— Jeżeli nie pan, to on go z pewnością będzie miał — twierdził Sikorka, widocznie zafrasowany.

— Stary zawsze coś musi zmalować — przecedził pan Piotr przez zęby.

Trzeba jednak dodać, że nie frasowało go wcale to, co przerażało Sikorkę i wcale nie obawiał się tego, że jego sąsiad zepsuje mu polowanie.

Podeszli do pierwszego numeru. Stanowisko, w rzeczy samej, było doskonałe. Sikorka zgarnął śnieg przed szałasikiem i postawił obok niego sztucer...

— A pan jak? — zapytał, obrzucając pana Piotra szybkiem spojrzeniem. — Ani pistoleta, ani noża pan z sobą nie zabrał?

Pan Piotr widocznie go nie dosłyszał.

— Pokiego licha tak rozciągnęli łańcuch — rzekł zamiast odpowiedzi. — Patrzaj, do panicza będzie z sześćdziesiąt kroków.

— Wszyscy się obawiają tego końca — uśmiechnął się Sikorka i powtórzył swoje poprzednie zapytanie.

— Niech tam, dawaj nóż — rzekł pan Piotr w zamyśleniu.

Sikorka odpiął pas z wielkim nożem myśliwskim i opiął nim pana Piotra.

— No, a teraz Bóg z panem — rzekł i przeżegnawszy się, pobiegł na skrzydło.

Zaledwie odbiegł kilkanaście kroków, pan Piotr gwizdnął i zawrócił go.

— Prędko zaczną? — zapytał.

— Nie, zdaje mi się, że nie... Trzeba będzie poczekać.

— Idź, zobacz no, czy szałasik u panicza w porządku.

— Dobrze, ale...

Sikorka urwał, dojrzawszy wzrok pana Piotra i jak dawniej w podskokach, pobiegł do drugiego numeru.

Pan Piotr stał przez kilka chwil nieruchomy, aż nareszcie, zadumany poszedł w ślad za nim.

— No, i jakże tu panu jest? — zapytał, podchodząc do Żurowskiego.

— Ot tak, sobie, panie Piotrze, tak sobie - odparł chłopiec, ale mina jego była rzadka.

— Strach? — zapytał pan Piotr, uśmiechając się.

Chłopiec zafrasował się.

— Nie, teraz już nie — odparł, ale ton jego głosu świadczył o czemś innem.

— Lepiej poszedłbyś pan stąd — rzekł pan Piotr zadumany.

— O nie, panie Piotrze, to rzecz niemożliwa.

— Żeby zabić niedźwiedzia, trzeba być doświadczonym myśliwym, a w każdym razie dobrym strzelcem.

Chłopiec milczał.

— Jak pan sądzisz — rzekł pan Piotr i wzruszywszy ramionami, poszedł na swoje stanowisko.

Pan Piotr w drodze rozmyślał.

— Jeżeli chłopiec się uprze, to naturalnie prosić go nie będę. W każdym razie nie jestem jego niańką i do tego mieszać się po prostu nie widzę potrzeby.

Sikorka szedł za nim i milczał. Widział, że chwila nie była stosowna do jakiejkolwiek rozmowy.

— Tak, nie jestem niańką — powtórzył sobie pan Piotr w duchu jeszcze raz i zatrzymał się.

Spojrzał na numer drugi.

— Posłuchaj pan, panie Olesiu — zawołał do Żurowskiego. — Chodź pan tutaj i stań na jednem stanowisku ze mną... tak będzie lepiej!

Nie czekając na odpowiedź, poszedł dalej.

Zaproszenie nie było bardzo uprzejmem, ale było w niem coś szczególnego, coś w rodzaju rozkazu i w dodatku rozkazu, nie dopuszczającego sprzeciwiania się.

Takiem przynajmniej wydało się to zaproszenie Żurowskiemu; w milczeniu też poszedł za panem Piotrem.

Ani mu na myśl nie przyszło obrazić się.

— On wcale... nie jest taki... jak o nim mówią — myślał, oczywiście zupełnie nielogicznie.

Przyszli na miejsce

Jakże lekko zrobiło się chłopcu na sercu, że tu jest bezpiecznym, że mu tu dobrze, że nie ma potrzeby obawiać się czegoś.

Pan Piotr w milczeniu i uważnie oglądał zamki sztucera.

— Jak to dobrze, że nie patrzy na mnie wcale — pomyślał chłopiec. — To naumyślnie, wie, że mi jest trochę niewyraźnie.

Chciało mu się podziękować staremu, dowieść mu, że on go pojmuje i rozumie... nie wiedział jednak, w jaki sposób to uczynić.

— Panie Piotrze! — odezwał się nieśmiało.

Pan Piotr przestał oglądać sztucer.

— A to jednak wstyd!

— Jaki wstyd?

— A to... pan stary, a ja młody...

— No...

— A ja się chowam za pańskie plecy.

Pan Piotr mimowoli uśmiechnął się. Ładnieby on wyglądał za temi chłopięcemi plecami!

— Zresztą — ciągnął dalej Żurowski — to tylko z panem... Z kim innym nie stanąłbym razem, naprawdę nie stanąłbym.

Zapanowało znowu milczenie.

— Panie Piotrze — rzekł znowu chłopiec po chwili — wie pan, zdaje mi się, że napróżno zszedłem z mego stanowiska... Należało mi przezwyciężyć siebie samego.

— No, co to, to nie — przerwał mu pan Piotr. — Nie mówmy lepiej o tem. Stój pan tu spokojnie.

— Tak pan sądzi?

— Tak, tak będzie lepiej.

Chłopiec zamyślił się i pozostał.

Rozmowa znowu się urwała; ale chłopiec widocznie nie umiał milczeć. Wszystkie swoje wątpliwości usunął na bok. Tak dobrze mu tu było i tak mu się mówić chciało.

— A mówią, że ogromny niedźwiedź — rzekł.

— A ogromny.

— O panu mówią, że pan ich strzela jak koty... czy to prawda?

— No, niezupełnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



KORESPONDENCYE.

Ruda w marcu 1898.

W lasach państwa Radłów należących do p. Henryka Dolańskiego, ubito na 4-ch jednodniowych polowaniach w rewirach lasowych: Biadoliny, Bielcza i Niwka i na podjazdach w rewirze Waryś i Ruda w czasie od 1. grudnia 1897 do 30. stycznia 1898: 51 rogaczy, 75 zajęcy i 8 lisów. Zajęcy dlatego tak mało, że na polach z powodu pokazującej się małej ilości zajęcy z początkiem jesieni wcale nie polowano. W rewirze Waryś i Ruda również wcale nie polowano, tylko w każdym z tych dwóch wyżej wymienionych rewirów podpisany na podjazdach z ekspresem po 10 rogaczy odstrzelił.

Zwierzyny szkodliwej, jak lisy, kuny, łasiczki, wałęsające się psy i koty, jakoteż ptactwo drapieżne, to jest jastrzębie, kruki, wrony i sroki, a które są tak przez leśniczych, jakoteż i przez straż lasową na każdym kroku mordowane, teraz nie podaję, gdyż u nas dopiero z końcem czerwca nosy i szpony tych szkodników bywają oddawane i za nie strzałowe na 1. lipca każdego roku wypłacane, co każdego roku, z premiami za kłusowników, dochodzi do 250 zł.

Młode zajączki wielkości małych królików były już 4. marca widziane.

Kuropatwy bardzo dobrze przezimowały i są już od 10. marca prawie na każdym polu w parkach widziane. Gdyby się tego roku bez wylewów obyło, byłoby na jesień dosyć do odstrzelenia. Słonka była dnia 17. marca pierwszy raz widziana i pomimo codziennego chodzenia na ciąg ani jednej więcej nie widziałem.

Karol Scherautz.

Jabłonów w marcu.

W Jabłonowie, majątku księżnej Florentyny Czartoryskiej w kniei 4000 morg. odbyły się polowania 26 i 27 stycznia w 16 strzelb. Wzięto tylko 17 miotów, w których padło 4 dziki, 22 rogaczy, 18 lisów i 123 zajęcy, razem 167 sztuk. Dzików kilka niestrzelanych i dwa silnie postrzelone przeszły w lasy sąsiednie. Knieja Jabłonowska prześliczna, stan zwierzyny, szczególnie sarn, nadzwyczaj wielki. Polowania prowadzone wzorowo.

Dnia 29. stycznia odbyło się polowanie po raz trzeci tej zimy w kniei Orzechowieckiej 800 morgowej, u p. Zbigniewa Cieńskiego, w 8 strzelb. Padło: 4 rogacze, i 46 zajęcy; strzałów 71. Na dwóch zaś poprzednich polowaniach padło 12 lisów i 84 zajęcy.

Ludwik Cieński.

Makuniów w marcu.

Jeszcze słówko o sprowadzaniu obcych kuropatw.

Niech i mnie będzie wolno już tylko jako zamiłowanemu myśliwemu wypowiedzieć w powyższej kwestyi słów kilka. Tylu już poważnych myśliwych i przyrodników ostatnimi czasy w tej sprawie głos zabierało i rozmaicie rzecz tę rozpatrywało, że uważam się zaledwie za kompetentnego po nich me zdanie wypowiedzieć. Chcę jednak poruszyć tę kwestyę, że tak powiem, więcej lokalnie t. j. z zastosowaniem jej do części kraju, w której mieszkam, a również chcę się w ten sposób usprawiedliwić przed Wydziałem Towarzystwa łowieckiego, że jako delegat takowego, nic w powierzonej mi części powiatu mościskiego w sprawie sprowadzania kuropatw nie uczyniłem i ani w swojem ani w myśl postanowienia tegoż Wydziału w imieniu innych członków Towarzystwa o potrzebną ilość kuropatw żywych się nie zgłosiłem.

Zapewne, w wielu wypadkach byłaby to najprostsza droga, sprowadzać obce kuropatwy i puszczać je w nasze rewiry, by dójść w krótkim czasie do świetnego ich stanu. Takby się przynajmniej wydawało! Ta rzecz napotyka jednak na tyle trudności i przeciwności, że wątpię, by pomyślne wydać mogła rezultaty i czy w ogóle jest wartą zachodu.

O kosztach sprowadzenia kilku par kuropatw do jednego rewiru wspominać nie warto, bo czy takowa 2 lub 4 zł. kosztuje, koszt jest zawsze nieznaczny i sowicieby się wynagrodził, gdyby innych trudności nie było. Kuropatwa jednak obca w nasze rewiry wpuszczona, walczy mimo największej troskliwości myśliwego z tak ciężkimi warunkami bytu, że prawie zawsze polegnie w tej walce. Dla kuropatwy węgierskiej klimat nasz zupełnie się nie nadaje, dla czeskiej może więcej, ale także nie bardzo. Węgry to kraj już południowy, a Czechy są zasłonięte górami od północy, gdy my przeciwnie od południa, a północ aż do bieguna stoi mroźnym wiatrom otworem, przez co mamy w naszym kraju klimat o wiele ostrzejszy, niż inne więcej na północ nawet posunięte obszary. Kuropatwy daleko trudniej aklimatyzują się, niż bażanty i sądzę, że najodpowiedniejsze dla nas byłyby z pruskiego Szląska lub z W. Księstwa Poznańskiego. Pomijam jednak i te trudności klimatyczne, bo i na to są sposoby, by ją nowym przybyszom osłodzić i takowych stopniowo, do naszego klimatu przysposabiać, ale jak ta kuropatwa, która w ojczyźnie swej nie znała lisa, jastrzębia, bociana i tym podobnych drapieżników, w zimie łagodnej mieszkała w budce lub zacisznej remizie pielęgnowana i żywiona jak swojska kura, nie znająca prócz strzelby innego wroga, może się u nas rozrodzić i egzystować?! My nie możemy tych kuropatw, które już mamy, rozmnożyć, a cóż myśleć o sprowadzaniu nowych? Przecież sądzę, że niema rewiru w kraju, na którymby ani jednego stadka kuropatw nie było. Nie strzelać ich przez dwa, trzy lata, to przecież o wiele więcej znaczy, niż co roku wpuścić kilka par świeżych. I wielu myśliwych tak czyniło i czyni nie wyłączając mnie samego i czy jest jaki rezultat? W naszej okolicy, w całej środkowej Galicyi, z małymi wyjątkami, żaden! Rok w rok jest ta sama ilość stad i na tem koniec, a z tego wynika, że tembardziej obca kuropatwa na nic nam się przydać nie może. By mieć świetniejszy stan kuropatw u siebie, nie potrzebujemy obcych sprowadzać, możemy własne, te co mamy pielęgnować i rozmnażać, ale do tego musimy sobie teren przygotować. Trzeba wybić lisy i inne drapieżniki, pozakładać remizy i budki. Najstraszniejszym wrogiem kuropatwy jest lis. Są okolice, w których żadną miarą i ludzką siłą ród mykici nietylko wybić, ale nawet uszczuplić się nie da. W kluczu miżynieckim czyniono wszystko w tym względzie i mimo to ilość zabitych lisów rok w rok się nie umniejszała, a kuropatwy pielęgnowane nie bardzo prosperowały. Nie daję tu tego przykładu, by powiedzieć, że niema już na złe żadnej rady i by ręce opuścić i nic nie robić, ale dla tego, by udowodnić, że sprowadzanie obcych kuropatw do nas jest

jeszcze nie na czasie i że daleko lepiej zająć się temi, które mamy, dając im przytułek i pożywienie w zimie, zakładając dla nich remizy i szanując je, jak się tylko jest w stanie i niszcząc wszystkimi sposobami nasze drapieżniki. Nie możemy tu brać wzoru z kilku wielkich rewirów w zachodniej Galicyi, gdzie przy ogromnych wkładach stan kuropatw jest świetny. Nie każdy może to u siebie zastosować, bo prócz pieniędzy potrzeba i ogromnych obszarów, by nie mogli szkodzić źli sąsiedzi. A u nas, niestety, dobry sąsiad myśliwy jest jeszcze rzadkością.

Nie narzucając więc nikomu mego skromnego zdania, powtórzę raz jeszcze, że sprowadzanie obcych kuropatw do naszego kraju w naszych stosunkach, do nieprzygotowanych do tego rewirów, jest zupełnie bezcelowe i dodatniego rezultatu dać nie może. *Albert Mniszek.*

Z Lisowic

W tak kapryśnej zimie, odznaczającej się przez cały czas trwania nieprzezwyciężonym wstrętem do mrozów i śniegu, nie łatwo było znaleść czas na dłuższe polowanie; to też styczeń minął, z nim razem prawo strzelania do zajęcy i jarząbków, a w Lisowicach nie można było polować, z powodu zupełnego braku śniegu. Luty wreszcie zdradził pewne zachcianki ustalenia zimy, a sprowadzając nieco śniegu, umożliwił tropienie dzików.

Łowy tym razem trwały tylko pięć dni, od dnia 15. do 19. lutego włącznie. Dziki zastaliśmy przeważnie w górskich, oddalonych rewirach, w dość pokaźnej ilości; jeden dzień zwłaszcza mógłby był dać świetny rezultat, strzelano bowiem do dwunastu dzików, ale podniesiono tylko 6; dodajmy do tych niepowodzeń inny dzień silnej, śnieżnej zamieci, która uniemożliwiała łowy, a będziemy musieli przyznać, że i wynik polowania, tak krótko trwającego, był zadowalniający.

Ubito: dzików 12, rogaczy 34, lisów 5. Sztuk razem 51 na 92 strzałów.

A. K. W.

W lesie Chlebowskim w Miodoborach u JE. hr. Szczęsnego Koziebrodzkiego odbyło się polowanie dnia 5 tego stycznia 1898. Na przestrzeni 511 morgów, z których 50 nie było branych, ubito w 17 strzelb od pół do 11-tej do czwartej godziny z przerwą jednogodzinną na śniadanie, jednego dzika, dwa lisy, sześć kozłów i 94 zajęcy. Miotów wzięto piętnaście, strzałów padło 249

Antoni Buda
leśniczy.

SPRAWOZDANIA DELEGATÓW.

Wiszenka w marcu 1898

Powiat gródecki dzieli się pod względem tellurycznym na dwie wybitnie różne części — mianowicie część południową graniczącą z rudeckiem i komarniańskiem, obejmującą żyzne bogate role, piękne łąki i olbrzymie w dolinie rzeki Wereszycy położone stawy — usianą gęsto wsiami i wielkiemi, wzorowo zagospodarowanemi folwarkami i część północną o glebie przeważnie piaszczystej, częścią kamienistej, miejscami o pagórkowatem położeniu. Druga ta część graniczy z powiatami jaworowskim, rawskim i żółkiewskim, jest przeważnie poświęconą kulturze leśnej i posiada niezliczone wśród nieprzebytych kniei rozrzucone osady.

Z natury rzeczy wypływa, że w tych tak różnorodnych warunkach wielkie i pod względem zwierzostanów zachodzą różnice.

W części południowej spragniony łowów myśliwy znajduje prawie wyłącznie polowania polne, błotne i stawowe — a pod tym względem stanowi wyjątek jedynie obszar łowiecki Lubień Wielki, własność barona Adolfa Brunickiego, posiadający obok przepięknych łąk, folwarków i stawów do sztucznej racyonalnej hodowli karpia urządzonych, także znaczną przestrzeń lasów, stanowiących wspaniałą knieję, istną perłę polowań kniejowych, znaną tak dobrze w kraju i słusznie takiej sławy zażywającą.

W drugiej, lesistej części powiatu, o której tutaj nieco obszerniej pomówić pragnę, znajdują się obszary łowieckie, którym przyroda nie poskąpiła wszelkich warunków, aby się stały eldoradem myśliwego — jeżeli zaś niem nie są — przyczyny stanu tego szukać należy we większej lub mniejszej staranności właścicieli, a także w znacznej mierze w niedostatecznej opiece władz, powołanych do udzielania skutecznego poparcia usiłowaniom w tym kierunku czynionym.

Jadąc ze Lwowa jedyną w swoim rodzaju koleją janowską, przybywamy przedewszystkiem do odległego o trzy mile Janowa, majątku JE. Agenora hrabiego Gołuchowskiego, o obszarze 7000 morgów, pod każdym względem wzorowo administrowanego — także i pod względem łowieckim wiodącego prym w naszych stronach. — W tegorocznych pomniejszych polowaniach skonstatowano tutaj bardzo piękny stan sarn, zajęcy mniej nieco, lisów niezwykle więcej niż po inne lata. W najpiękniejszych rewirach Dąbrowa i Czarny kamień polowania się nie odbyły, za to przyszły sezon w zaszanowanej kniei rokuje wspaniałe nadzieje.

Następuje w bezpośrednim związku Lelechówka z Wereszycą i Majdanem, 11000 morgów, właścicielka pani baronowa Boul — pomimo wszelkich najlepszych warunków rozwoju, zwierzostan znacznie wytępiony przez kłusowników, a co smutniejsza personal leśny na własną rękę strzela, co wpadnie pod lufę.

Wiszenka 6000 m. lasu, własność podpisanego, poluje się raz w roku — zwierzyna żywiona, stan sarn średni, zajęcy stosunkowo do okolicy nieco więcej, dzik częsty lecz przechodni — lisów pomimo tępienia dosyć gęsto, jarząbek stale się utrzymuje, lecz stan się nie wzmaga, w ostatnich latach okazały się cietrzewie, których dawniej zgoła nie było. — W sezonie 1897/8 ubito 4 dziki, 18 kozłów, 106 zajęcy, 5 jarząbków, 6 słonek, 23 lisów.

Dobrostany z Jaryną 8000 m. właściciel książę Kalikst Poniński, zwierzyny prawie nie ma, obok całych zgrai kłusowników, personal leśny jakoby zagładę zaprzysiągł wszystkiemu, co żyje.

Obok wyżej wymienionych obszarów są jeszcze: Powitno 300 m. dobra arcybiskupie, Żorniska z Łoziną 800 m. właściciel p. Józef Weigel Milleret, Rokitno 2000 m. właść. p. Edward Kopecki, Zielów 800 m. właść. p. Szofer, Dąbrowica 500 m. właść. p. Beczwar.

Jak z powyższego zestawienia wynika, obszar lasów tutejszego okręgu wynosi z górą 36000 morgów, w nieprzerwanym związku wzajemnym pozostając, graniczy w dalszym ciągu z knieją jaworowską i prześliczną knieją starzyską, dałby rezultaty świetne i mógłby się stać prawdziwą pepinierą zwierzyny dla rozległych okolic, gdyby się znalazło więcej zainteresowania u niektórych właścicieli i z naciskiem tutaj podnoszę, gdyby władze baczniejszą uwagę zwróciły, na zuchwale rozprzestrzenione kłusownictwo.

W ostatnich latach rozpowszechnił się między kłusownikami ohydny zwyczaj nastawiania sideł, przeważnie na sarny i dzisiaj niektóre rewiry mające z dawna ustaloną opinję stały się pustemi.

Powiada przysłowie, że „nadzieja jest zwodniczą“ — jednak „ona ozdobą życia“ — pracujmy przeto o ile siły starczą, radźmy złemu, w czem możemy — a może przecież jaśniejsza przyszłość będzie naszym udziałem — i weselsze z tych okolic sprawozdanie w łamach „Łowca“ się pojawi.

Franciszek Stanek, delegat gródecki.





Sprawy Towarzystwa.

Dnia 27. marca br. odbyło się posiedzenie Wydziału Towarzystwa, w którem wzięli udział pp.: hr. Bielski, Goralczyk, Hirsch, Hamerski, Klusik, Krogulski, Miziewicz, Rosenberg, Szczerbicki i Szydłowski. Przewodniczący ordynat Czarkowski-Golejewski otworzył obrady zawiadomieniem, że ruch członków Towarzystwa wzmaga się — że znać już wydatną pracę niektórych z pp. delegatów w kierunku przysparzania Towarzystwu nowych członków — że znaczna liczba tych pp. delegatów, którzy dotychczas członkami Towarzystwa nie byli, przystąpiła do Towarzystwa i w ten sposób pomnożyła znacznie szeregi jego członków. Są wszelkie nadzieje, że Towarzystwo, jeżeli tak dalej zainteresowanie szerszych kół budzić będzie, jak się to obecnie zaczyna, wzmoże się w dostateczne siły do wykonania swoich zadań.

Propozycyę uczynioną przez dolno-austryackie Towarzystwo łowieckie, aby sposób uczczenia jubileuszu cesarskiego przez Koła łowieckie omówić przez delegacye, które mają się zebrać w Wiedniu, przyjęto i do delegacyi tej zaproszono Prezesa Towarzystwa Wiceprezesa i członka wydziału hr. Juliusza Bielskiego.

Następnie odczytuje Przewodniczący następujący list Józefa hr. Potockiego:

Jaśnie Wielmożny Panie!

Poczuwam się do miłego obowiązku wyrazić JWPanu me szczere podziękowanie za zaszczytne dla mnie słowa, zawarte w Jego szacownem piśmie z dnia 13. lutego br. i pozwalam sobie upraszać Go, by wyrazy mej wdzięczności za łaskawe uznanie mej skromnej pracy, wyrażone na ogólnem zebraniu gal. Tow. łowieckiego, do wiadomości członków wydziału i przyszłego ogólnego zgromadzenia tegoż Towarzystwa podać raczył. Czuje się głęboko wzruszonym tym dowodem uznania ze strony bratniej drużyny galicyjskich myśliwych i ze wszystkich oznak łaskawego przyjęcia, jakie me „Notatki myśliwskie“ doznały, poczytuję sobie za zaszczyt największy, jednomyślną uchwałę gal. Tow. łowieckiego, do którego sam od chwili jego założenia należę i do jedności z którem poczuwać się nie przestałem.

Z wyrazem wysokiego szacunku JWpanu sługa powolny

Józef Potocki.

Urządzenie **zjazdu łowieckiego** w czasie wyścigów uchwalono jednomyślnie. Do komitetu mającego urządzić ten zjazd zaproszono członków Wydziału pp. Korytowskiego, jako przewodniczącego, następnie pp hr. Bielskiego, Klusika, Krogulskiego i ks. Lubomirskiego i Szydłowskiego. Komitetowi temu przyznano prawo kooptowania członków w miarę potrzeby. Uchwalono także wskazówkę dla komitetu, przy układaniu regulaminu strzelania, że przy popisowem strzelaniu używać można tylko broni myśliwskiej.

Nad poruszoną przez Biuro Towarzystwa sprawą stanowiska delegatów naszych wobec nowej ustawy łowieckiej rozwinęła się bardzo obszerna dyskusya, w której brali udział pp. Miziewicz, Szczerbicki, Szydłowski, Goralczyk, Rosenberg, hr. Bielski. Uchwalono jednomyślnie wysłać deputacyę do Księcia Namiestnika z prośbą, aby ck. Starostwa otrzymały wskazówkę ze strony ck. Namiestnictwa, że rzeczoznawców w sprawach łowiectwa przez Starostwa rozstrzyganych powoływać należałoby z grona delegatów Towarzystwa łowieckiego, jak się to dzieje w innych krajach koronnych. Zarazem uchwalono wysłać deputacyę do pp. Nadprokuratorów w Krakowie i we Lwowie, któraby zwróciła ich uwagę na konieczną potrzebę energiczniejszego traktowania spraw o kłusownictwo, jeżeli łowiectwo krajowe ma się rozwijać, a nie zdążać do upadku. Rozdzielono następnie niektóre referaty między członków Wydziału — a mianowicie przydzielono sprawy ścigania kłusownictwa i nadużyć ustawy łowieckiej p. Klusikowi, sprawę statystyki łowieckiej pp. Goralczykowi i Krogulskiemu.

Nastąpiły nominacye nowych delegatów, a mianowicie zamianowano dla powiatu borszczowskiego hr. Michała Baworowskiego, dla powiatu brzeżańskiego pp. Władysława Michałowskiego i Dr. Stanisława Mandla, dla powiatu grybowskiego pp. br. Brunickiego Karola i Paszka Franciszka, dla powiatu mieleckiego hr. Zygmunta Romera i hr. Jana Tarnowskiego młodszego, dla powiatu podhajeckiego pp. Fortunata Skarżyńskiego, Napoleona Gołaszewskiego i Władysława Jankowskiego, dla powiatu przemyślańskiego p. Aleksandra Torskiego, dla powiatu sanockiego pp. Władysława Truskolaskiego, Kazimierza Wiktora i Władysława Wiktora, dla powiatu staromiejskiego p. Dr. Władysława Ostrożyńskiego, dla powiatu stanisławowskiego p. Mieczysława Brykczyńskiego, dla powiatu strzyżowskiego hr. Romana Michałowskiego, dla powiatu tarnobrzeskiego hr. Zdzisława Tarnowskiego i p. Zbigniewa Horodyńskiego, dla powiatu tarnowskiego p. Hibichta Wilhelma i p. Jana Kornickiego, dla powiatu tłumackiego hr. Korytowskiego Felicyana, dla powiatu turczańskiego pp. Osuchowskiego Bronisława, br Künsberga Ubrycha i Ziembickiego Grzegorza, dla powiatu trembowelskiego p. Błażyńskiego Aleksandra, dla powiatu zbaraskiego pp. Fedorowicza Tadeusza, Konopackiego Mieczysława i Dr. Niementowskiego Tadeusza, dla powiatu żydaczowskiego pp. Antoniego Skrzyńskiego, hr. Henryka Starzeńskiego i Mikołaja Podlewskiego.

Na wniosek p. Krogulskiego uchwalono jednomyślnie, aby wobec wejścia w życie od dnia 26. bm. nowej ustawy łowieckiej, a zatem także obowiązku wykazywania się kartami myśliwskiemi, których jednak jeszcze władze z powodu braku rozporządzenia wykonawczego nie wydają, udać się natychmiast do ck. Namiestnictwa z prośbą o wydanie odpowiednich poleceń, celem uniknięcia niemiłego dla myśliwego wypadku odebrania broni z powodu braku karty myśliwskiej, której pomimo najlepszej chęci otrzymaćby nie mógł.

Załatwieniem kilku drobniejszych spraw zakończono trzechgodzinne, ożywione posiedzenie.

Wydział uprasza Szanownych pp. Członków, aby raczyli stwierdzać w podawanych tu wykazach wpłaconych kwot, czy są wymienieni i czy z należytą kwotą i w danym razie zechcieli bezzwłocznie kartą korespondencyjną reklamować. W ten sposób pomogą Wydziałowi sami pp. członkowie wypełniać należytą kontrolę nad funduszami Towarzystwa i przyczynią się do usunięcia wszelkich nieporozumień, jakieby z tytułu niedostatecznego dotychczasowego sposobu kwitowania wyniknąć mogły. Niereklamowane

w ciągu dwóch miesięcy wykazy zostaną zakontowane w księgach Towarzystwa jako przez wszystkich interesowanych pp. członków przyjęte.

Zapłacili w miesiącu lutym 1898 prenumeratę na rok 1898.

		Złr.			Złr.
1.	Agopsowicz Kazim.	5·—	65.	Łastowiecki Bron.	5·—
2.	Baborski Otomar	5·—	66.	Łoboz Longin	5·—
3.	Bartkowski Adam	5·50	67	Łysakowski Leopold	5·—
4.	Beer Wilhelm	5·—	68.	Łysakowski Józef	7·—
5.	Bielski Juliusz hr.	5·—	69.	Madejewski Walerjan	5·—
6.	Bieniecki Aleksander	5·—	60.	Mandel Stanisł. Dr.	5·—
7.	Błażyński Józef	5·—	71.	Marmoross Kazim.	5·26
8.	Bobrowski Stanisł.	5·75	72.	Mauthner Gust. Dr.	5·50
9.	Bobrowski Władysł.	5·75	73	Michałowski Wład.	5·—
10.	Borkowski hr. Jerzy	5·—	74.	Miziewicz Stan. Dr.	7·50
11.	Boziewicz Karol	5 —	75.	Mniszek Wład. hr.	5·—
12.	Brykczyński Stanisł.	5·50	76.	Morawski Romuald	5·50
13.	Burzyński Mieczysł.	5·50	77.	Morsztyn hr. Henr.	5·50
14.	Chłapowski Maurycy	5·50	78.	Niementowski T. Dr.	5·50
15.	Cieński Ludwik	5·—	79.	Oczosalski Edward	5.50
16.	Cwierzewicz Edward	5·—	70.	Orłowski Oktaw	5·—
17.	Cybulski Julian	5·—	81.	Ostrożyński Wł. Dr.	5·—
18.	Czapelski Tadeusz	5·—	82.	Paszkowski Dr. Fr.	5·—
19.	Czecz-Lindenwald K.	5·—	83.	Paszkudzki Miecz.	5·50
20.	Dobiecki Stan. Dr.	5·50	84.	Pietruski Zygmunt	5·50
21.	Dobrzyński Zygmunt	5·—	85.	Potocki hr. Aleks.	5·—
22.	Domaszewski Wacł.	5·50	86.	Potocki hr Józef	5·—
23.	Doschot Alfred	5·—	87.	Puchalski Dr. Stefan	7·—
24.	Drohojowski Zygm. z Tułkowic	5 —	88.	Rey hr. Mikołaj	5·—
25.	Drohojowski Zygm. z Tryńczy	5·—	89.	Roiński Dr. Emanuel	5·50
			80.	Rosenberg Alfred	5·50
			91.	Rozwadowski Fran.	5·70
26.	Dzikowski Alfred	5·—	92.	Schnell Oskar	5·—
27.	Festenburg Edw. Dr.	5·50	93.	Seferowicz Stefan	5·50
28.	Frenkel Józef	5·50	94.	Skałkowski Dr. Br.	5·50
29.	Fuchs Franc. Dr.	5·50	95.	Skrzyński Seweryn	5·—
30.	Garapich Kazimierz	5·80	96.	Slama Jan	5·—
31.	Glazarewicz Stanisł.	5·—	97.	Smiałowski Wład.	5·20
32.	Gołkowski Antoni	5·—	98.	Sołowij Tadeusz Dr.	5·50
33.	Goralczyk Antoni	5·50	99.	Stadnik Aleksander	2·50
34.	Gottwald Emil	5·—	100.	Starzeński hr. Edw.	5·—
35.	Gostyński Karol	5·—	101.	Starzeński hr. Leop.	5·—
36.	Gottleb-Haszlakiewicz Zdzisław	5·50	102.	Sumiński hr. Artur	5·—
			103.	Sym Antoni	5·—
37.	Groblewski Zygmunt	7·—	104.	Szczepański Piotr	5·50
38.	Gutowski Feliks	5·70	105.	Szczerbicki Franc.	5·—
39.	Hamerski Maryan	5·—	106.	Szeptycki hr. Jan	5·—
40	Horoszkiewicz Tad.	5·70	107.	Szkoła leśniczych w Bolechowie	5·—
41.	Józefowicz Ludwik	2·—			
42.	Jędrzejowicz Ludwik	5·—	108.	Torosiewicz Klem.	5·—
43.	Kasyno narodowe	5·—	109.	Towarzystwo myśliwych w Kałuszu	5·—
44.	Kasyno w Rohatynie	2 —			
45.	Kisielewski Władysł.	5·—	110.	Towarzystwo św. Huberta	5·—
46.	Klimowicz Jan	5·—			
47.	Klusik Tadeusz	5·—	111.	Trzecieski Władysł	5·—
48.	Kornicki Jan	5·—	112.	Ujejski Bronisław	5 —
49.	Korytowski hr. Jul.	5·—	113.	Ujejski Roman	5·—
40.	Korytowski hr. Feliks	5·—	114.	Vivien Jan de Chateaubrun	5·—
51.	Korytowski Dr. Witołd	5·—			
52.	Kotze Michał	5·—	115.	Wczelik Antoni	5·—
53.	Kozicki Edward	5·—	116.	Wodzicka hr. Ludw.	5·—
54.	Kozłowiecki Adam	5·—	117.	Wodzicki hr. Antoni	5·—
55.	Krajewski Józef	5·50	118.	Wodzicki hr. Antoni Kazimierz	5 rs.
56.	Kreyser Oskar	5·—			
57.	Krobicki Tad. Dr.	5·50	119.	Wybranowski Stan.	5 —
58.	Krogulski Seweryn	5·—	120.	Zamoyski hr. Stefan	5·—
59.	Krumholz Tadeusz	5·50	121.	Zarząd lasów i dóbr w Majdanie górnym	5·21
50.	Krzeczunowicz Wal.	5·—			
61.	Laurecki Leon ks.	5·—	122.	Ziembicki Dr. Grzeg.	5·50
62.	Lisiewicz Dr. Zygm.	5·50	123.	Zubrzycki Wieniawa Waleryan	5 —
63.	Lubomirski And. ks.	5·—			
64.	Ludwig Jan	5·—			

Zapłacili w miesiącu marcu 1898 prenumeratę na rok 1898.

		Złr.			Złr.
1.	Adamek Włodzim.	5·—	37.	Olszański Dyonizy	5·—
2.	Baborski Otomar	1·—	38.	Olszewskiego biuro gazet	3·—
3.	Balicki Józef	6·—			
4.	Biesiadecki Wład.	5·—	39.	Orzechowicz Bolesł.	5·—
5.	Bocheński Franc.	6·—	40.	Pielecki Józef	5·—
6.	Bondie Karol Dr.	5·—	41.	Podolski Feliks	7·70
7.	Büchner Otton	5·—	42.	Pogłodowski Dyon.	5·—
8.	Bzowski Kazimierz	5·—	43.	Pragłowski Robert	5·—
9.	Cielecki Artur	5·—	44.	Przedrzymirski Al.	3·50
10.	Czarkowski Antoni	5·—	45.	Reichard Franc.	5·—
11.	Dzięciołowski Tad.	5·—	46.	Romer hr Ludwik	5·—
12.	Frankiewicz Stan.	5·70	47.	Rotter Bolesław	5·—
13.	Galiński Józef	5·—	48.	Rożniatowski Jan	3·25
14.	Grocholski hr. Stan.	5·—	49	Rudrof Stanisław	5·—
15.	Hołyński Konstanty	7·70	50.	Salamon Robert	5·—
16.	Horodyński Onufry	5 —	51.	Stojowski Zdzisław	5·—
17.	Janicki Ryszard	5·—	52.	Świętosławski Wacł.	5·—
18.	Joce Bolesław	5·—	53	Szarski Dr. Henryk	7·—
19.	Juściński Antoni	7·70	54.	Szczurkiewicz Wład	5·—
20.	Kapliński Bolesław	5·—	55.	Szeliski hr. Henryk	5·—
21.	Kasyno w Rohatynie	3·—	56.	Targowski Bolesław	5·—
22.	Kasyno w Sokalu	1·25	57.	Torski Antoni	5·—
23.	Kasyno w Zbarażu	5·—	58.	Tyszkiewicz Hr. Ant.	7·—
24.	Korytyński Tytus	5·—	59.	Tyszkowski Paweł	7·—
25.	Krokowski Leon	5·—	60.	Walewski Antoni	5·—
26.	Księg. Zwolińskiego	4·—	61.	Weigel Zdzisław	1·25
27.	Kwaśniewski Jan	2·50	62.	Wetter E.	5·—
28.	Kwiatkowski Feliks	5·—	63.	Wojtowicz Juliusz	5·—
29.	Lanikiewicz Józef	5·—	64.	Zagórski Włodzim.	5·—
30.	Leszczyński Celestyn	7·70	65.	Zalasiński Stanisł.	5·20
31.	Markiewicz Marceli	5·10	66.	Zamoyski hr. And.	5·—
32.	Merkel Karol	5·—	67.	Zapalski Antoni	5·—
33	Morawski L.	5·—	68.	Zawadzki Dyonizy	5·—
34	Mycielski hr. Stan.	5·	69.	Zbyszewski Kazim.	5·—
35.	Mysłowski Franc.	5·—	70.	Ziętarski Adam	5·—
36.	Nadachowski Emeryk	5 —	71.	Zörner Seweryn	2·50

(C. d. n.)

KRONIKA.

Towarzystwa łowieckie w Złoczowie. Dnia 26. z. m. obchodziło Towarzystwo łowieckie w Złoczowie 10-tą rocznicę swego istnienia. W celu uczczenia tej rocznicy za inicyatywą założycieli tego Towarzystwa pp. Wesołowskiego i Pachulskiego, odbył się bankiet w sali Kasyna mieszczańskiego, przybranej pięknie w trofea myśliwskie. Do stołu zasiadło kilkadziesiąt osób, między niemi 17 przybyłych ze Lwowa. Przy dźwiękach muzyki bawiono się ochoczo, przy miłej pogawędce i rozprawie nad rozwojem Towarzystwa. Odczytano telegramy nadesłane z Żywca i z Przemyśla. Bratniemu Towarzystwu przesyłamy serdeczne: „Szczęść Boże“ w dalszym rozwoju.

Walka z wilkami. Pisma rumuńskie donoszą, że na granicy rosyjsko rumuńskiej włóczą się liczne stada wilków. Niedawno temu jedno stado zgłodniałych wilków napadło na straż rumuńską, złożoną z 3 żołnierzy. Napadnięci bronili się bezustanną salwą z karabinów i już pięć wilków położyli trupem, lecz pozostałe wilki rzucały się z podwójną wściekłością na żołnierzy, a jednego z nich ukąsił już wilk nawet w biodro. Na szczęście przybyła niespodziewana pomoc — z drugiego brzegu Prutu nadbiegli strażnicy rosyjscy i celnymi strzałami przepędzili wilki do pobliskiego lasu. Na polu bitwy padło 11 wilków.

Wystawa rogów odbyła się w ostatnich dniach lutego i w pierwszych dniach marca b. r. w Pradze, w pałacu Auersperga. Napiszemy o niej obszerniej w przyszłym numerze.

Wściekły wilk napadł dnia 15. z m. w serbskiej wiosce Csoksnya na mieszkańców tej wioski i pokąsał siedm osób, które odesłano na klinikę do Pesztu.

Rozwiązanie zagadki. Otrzymujemy następujące pismo:

Zarzecze 24. marca.

W *„Łowcu“* z lutego b. r. umieszczono dowcipną zagadkę hr. Starzeńskiego. Gdy przy liczniejszem zebraniu ją odczytano,

a różni, między tymi i myśliwi — jedni niestosownie ją odgadywali, drudzy napróżno sobie głowę silili, 13-letnia panienka, córka rządcy i myśliwego, p. Łozińskiego, w ten sposób ją rozwiązała:

Bez nóg się zrodziłem — biegam doskonale (zrodziłem się ze „skokami“)
Słyszę dobrze — choć nie mam uszów (ale mam słuchy).
Choć ócz nie mam... (mam ślipie)*)
Choć bez sierści... (mam turzycę.)
Choć krwi w żyłach nie mam... (mam farbę)
a więc jest to „zając“.

W prawdzie nie obiecywała szan. Redakcya ogłaszać imion odgadujących, ale że to nie myśliwy, a do tego z pięknego rodu, ją odgadł, może szanowna Redakcya uzna za możliwe ogłosić Janinę Łozińską jako tę, która znajomością myśliwskiej gwary niejednego myśliwego zawstydzić mogła. *M. M.*

Rzadki gość. W numerze 6-tym czasopisma łowieckiego *Weidmannsheil*, wychodzącego w Celowcu, donosi niejaki p. F. C. Keller, niewiadomo zkąd, że preparator p. Józef Pregl pokazywał mu egzemplarz rzadkiego ptaka, mianowicie słowika rubinowego (*Calliope Kamtschatkensis*) i podał, że zabito go: „in Osvicin (Polen)“. Jeżeli tak jest, to prawdopodobnie ów „Osvicin“ będzie naszym Oświęcimem, a w takim razie byłby to unikat tego pięknego ptaka, i ubity w naszym kraju. Sam p. Keller przyznaje, że ptak ten jest wielką rzadkością, gdyż zaledwie po jednym egzemplarzu posiadają go cesarskie muzea w Peszcie i Wiedniu, a podobno jeden znajduje się w posiadaniu znanego ornitologa Tschusiego v. Schmidhofen. Ptak ten dotąd u nas widzianym nie był. Muzeum im. Dzieduszyckich nie posiada go, a także Taczanowski w swem dziele: „Ptaki krajowe“ nie wspomina o nim i dlatego uważałem za stosowne zwrócić uwagę naszych przyrodników i podzielić się tą wiadomością z wszystkimi tymi, którzy fauną naszą się zajmują. Równocześnie udaję się do redakcyi *Weidmannsheil'u* z prośbą o bliższe szczegóły.

A teraz kilka słów o gościu samym. Słowik rubinowy, Rubinek (*Calliope kamtschatkensis*, *Lusciola caliope*) jest bardzo bliskim „kuzynkiem“ podróżniczka czyli jasnomuszki (*Cyanecula suecica*) i razem z nimi należy do słowików (*Lusciolinae*). Wierzch ciała ma oliwkowo brunatny, ciemniejszy na głowie, spód brudno-biały, boki oliwkowo-zielonawe, środek piersi biały. Nad okiem brew biała; co go zaś najbardziej charakteryzuje, to świetne, jasnorubinowe podgardle, okrążone czarnym, wąskim paskiem. Kolor ten jednak wybitnym jest tylko u samca, u samicy wszystkie kolory są bledsze. Długość ciała ptaka wynosi 16, ogona 6 ctm. Właściwą ojczyzną jego podług Brehma, jest Azya północna; znajdować się ma jednak także w zachodniej Syberyi, a nawet spotykano go z tej strony Uralu w Europie. „Ważnym on jest dla nas — powiada Brehm — z tego względu, że kilka razy pojawiał się już w Europie; prawdopodobnie jest osiedlony w zachodniej stronie Uralu i na Kaukazie“.

Skoro tylko z redakcyi *Weidmannsheil'u* otrzymam wyjaśnienie, nieomieszkam o tem donieść czytelnikom *Łowca*.

E.

Opowiedzi redakcyi.

Wp. **W. W. Z. 10**. W sprawie nadesłanego nam artykułu jeszcze się z Wpanem porozumiemy.



*) Czyniąc zadość życzeniu naszego korespondenta, zamieszczamy list jego i cieszy nas to bardzo, że panna Janina Łozińska, jako nieodrodna córka myśliwego, zna gwarę myśliwską i co za tem idzie, widocznie zajmuje się sprawami łowieckiemi. Jedną tylko uwagę zwrócimy pięknej miłośniczce łowiectwa, a mianowicie, że zając zamiast oczu ma „trzeszcze“ a nie „ślipie“. (*Przypisek redakcyi*).

Łacina łowiecka.

Pana Prawdzieckiego z Wymysłowic dziwne przygody.

(Ciąg dalszy).

Razu jednego (było to wkrótce po mojem ożenieniu się) zechciało się żonie polowania. Wyjechałem konno naprzód, aby co spłoszyć lub wytropić, i nie trwało długo, a już pies stanął przed sznurem kilkuset kuropatw. Czekam i czekam na żonę, która z jednym młodym rezydentem i masztalerzem zaraz za mną wyjechała, lecz napróżno czekam — nikogo nie widać. Nareszcie niespokojny powracam i niemal na połowie drogi słyszę stłumione jęki i wołania. Zdawało mi się to w pobliżu, a jednak wszerz i wzdłuż żadnej żywej duszy nie było widać.

Schodzę z konia, przykładam ucho do ziemi i teraz dopiero słyszę, że jęki z pod ziemi wychodzą, ale nadto poznaję dokładnie głos żony mojej, rezydenta i masztalerza. Zarazem spostrzegam, że niedaleko odemnie był otwór kopalni węgli kamiennych, a tak wątpić nie mogłem, że weń biedna żona z towarzyszem wpadła. Lecę więc, jak koń wybiedz zdoła, do najbliższej wioski, aby górników wezwać, którzy nareszcie po długiej, wielce mozolnej pracy nieszczęśliwe istoty z szybu na dziewięćdziesiąt sążni głębokiego na wierzch wydostali. Najprzód wydźwignęli masztalerza, potem konia jego, potem rezydenta, po nim konia jego, nakoniec żonę i jej tureckiego stępaka. Co najbardziej przy tem wszystkiem zadziwiło, było to, że tak osoby jak konie wskutek tego tak okropnego upadku z wyjątkiem kilku małych skaleczeń, wcale uszkodzonemi nie zostały, tem więcej jednak strachu niewymownego ucierpiały. O polowaniu, jak to sobie wytłómaczyć możecie, nie było teraz ani myśli, a wszakże wy pod czas tej mojej powieści pewnie o psie mym zapomnieli, przeto nie można mi za złe brać, żem i ja o nim zapomniał.

Interesa moje zniewoliły mnie dnia następnego o świcie w podróż się udać, z której dopiero po dwu tygodniach wróciłem. Jeszcze godzinami w domu nie bawiłem, kiedy już spostrzegłem, że psa nie było. Nikt się o niego podczas mej niebytności nie troszczył; czeladź myślała, że on za mną pobiegł. Zmartwiło mnie to jak nigdy; strata psa, najlepszego psa, byłaby mnie doprawdy w rozpacz wtrąciła. Naraz przypomniało mi się, że może pies jeszcze przy kuropatwach czatuje. Nadzieja i trwoga pognały mnie natychmiast w znaną stronę i ot! z niewymowną roskoszą spostrzegam, że pies jeszcze na tem samem miejscu stoi, na którem go przed dwoma tygodniami zostawiłem. Dydku! krzyknąłem; pies poskoczył, a ja na jeden strzał dwadzieścia pięć kuropatw dostałem. Ledwo atoli mogło do mnie zwierzę przyczołgać się, tak zgłodzone i wycieńczone było. Aby je do domu sprowadzić, musiałem je na koń wziąć; nie potrzeba Wam powiadać, żem niewygodę tę jak najchętniej znosił. Po dobrem pielęgnowaniu przez kilka dni, był Dydek tak rześkim i skorym, jak przedtem, a po kilku tygodniach przyczynił się do rozwiązania zagadki, którąby bez niego wieczną może tajemnicą została.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Międzynarodowa wystawa
artykułów spożywczych i wyrobów przemysłowych w Pradze
Mała strona 1898.

Wystawa ta, pozostająca pod protektoratem J. O. Księcia Dr. Fryderyka Schwarzenberga, zostanie w dniach 15 do 22 maja b. r. w Pradze, na Małej stronie otwartą. Obejmuje ona wyroby przemysłowe, wszystkie artykuły spożywcze, jakoto: napoje w różnych gatunkach, potrawy do jedzenia, produkta hygieniczne i farmaceutyczne, przedmioty sportowe, w końcu wynalazki i nowości.

Komitet składający się z członków rady miejskiej praskiej komory handlowej przemysłowej, agencyi konsularnej i t. d. zaprasza niniejszem fabrykantów krajowych w Galicyi, którzy się zajmują wyrobami narodowych artykułów spożywczych do licznego wzięcia udziału w tej międzynarodowej wystawie.

Zgłoszenia wystawców z Galicyi przyjmuje kierownik wystawy, p. Artur Gobieť w Pradze, Karlin.

Na wszelkie zapytania odpowie tenże odwrotną pocztą.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya „Łowca": Lwów, pl. Chorążczyzny 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego" we Lwowie, ul. Sobieskiego 16. — pod zarządem Fr. Kattnera.